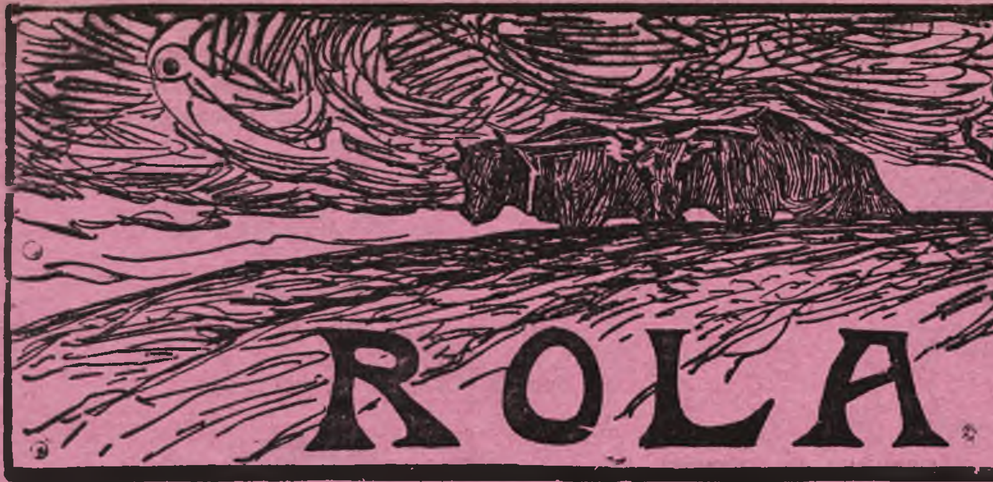
Numer 37. Nal. poczt. opł. rycz. **Dnia 9 Września 1928**



KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Numera zaległe można nabywać w Administracji „Roli“ za nadesłaniem 30 gr. za numer. Można też nadsyłać znaczkami poczt. w liście.

W ogrodzie zoologicznym.

— Mamusiu, dlaczego ten lew tak ryczy?
— Bo czeka na pożywienie.
— Ach, to tak samo jak tatuś?



Przed sądem.

Przed izbą cywilną sądu okręgowego staje pewien wieśniak bez adwokata, aby prowadzić swój proces. Przewodniczący zwraca mu uwagę, że sprawę musi oddać adwokatowi. Na to wieśniak: „Ja nie potrzebuję adwokata, bo chcę mówić tylko prawdę!"



Poznał go.

Pan X. przejechał samochodem przechodnia. „Bardzo mi przykro, przyznaję, że to była moja wina. Dam panu coś na pocieszenie. Jak pan uważa, ile powinienem panu zapłacić?

Ofiara chwyta się za górną część nogi i pyta: „A ile pan daje zwykle?"

Dożywotnie ciężkie roboty.

— Jak się masz stary przyjacielu. Czyś się już nareszcie ożenił, czy też nadal sam sobie smażysz jajecznicę, sprzątasz i przyszywasz guziki?
— I jedno i drugie.

Oświadczyny.

Lallie. — Nie, nie. Wyjdę tylko za człowieka, który już żył i cierpiał...
Jack. — A więc za wdowca?



— Ta ryba jest zepsuta, musi ją pani wziąć z powrotem.
— Zepsuta? Przecież stała na lodzie!
— No to lód był widocznie zepsuty.

Krótkowidz.

— Dlaczego nie zdejmujesz na noc okularów?
— Widzisz, mam taki krótki wzrok, że nie poznałbym osób, które widzę we śnie.

Numer 37. Rok XI. Kraków, dnia 9 Września 1928.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Idealna żona.

Idealną żoną możnaby nazwać taką kobietę, która posiada wszystkie zalety, jakie kobieta posiadać może a natomiast żadnej wady. Że takiej kobiety niema na świecie, to chyba nikt nie zaprzeczy. A mimo to zdarza się nieraz, iż ludzie mówią: „Ja mam idealną żonę“. Bo też i wymagania są rozmaite: Jeden żąda od kobiety tylko piękności fizycznej, wdzięku i harmonji kształtów, a zasób wszelkich cnót nie natchnie go uczuciem, jeżeli posiadająca je osoba będzie miała niezgrabny nos, lub rude włosy. Czuje się zupełnie szczęśliwym, kiedy żona jego przewyższa pięknością wszystkie inne znajome niewiasty, nie posiada się z radości, gdy budzi podziw mężczyzn i zazdrość kobiet. Ale nie sądźcie, żeby go cieszyło powodzenie małżeńskie. Broń Boże! To egoizm, to uczucie zadowolonego samoluba! Choć on z żony zadowolony, ale żona jego nie jest ideałem.

Dla drugiego ideałem jest dobra gospodyni i troskliwa matka. Byleby żona odpowiadała tym dwom warunkom, nie zapyta, czy ładna, czy brzydka. Żąda przedewszystkiem, aby była czynną i pilną, w gospodarstwie zręczną i skrzętną, aby należycie wychowywała dzieci, miała dobre zasady. Mało go obchodzi świeżość płci lub zgrabna kibić.

Inny znowu wzdycha za czułym, potulnym, jasnowłosym serafinem, któryby go czcił jak półbożka i uważał za uosobienie doskonałości, mądrości — za wyrocznię. Im pokorniejsza, tem więcej ją kocha; im mniej w niej samowiedzy, własnej woli i energji, tem silniejszem jego uczucie i przywiązanie. Dla niego ideał żony, to cichy cherubin w wiecznym zachwycie, ze schlonem czołem. Dla niego, ale nie dla innych.

A znowu ktoś inny wyobraża sobie jako idealną żonę, kobietę wysoko wykształconą. Żąda, aby ona przychodziła mu z pomocą zdrowem, jasnem pojęciem o rzeczach, bystrością poglądu. A żądanie swe opiera na przykładach z historji, przypominając sobie, że prawie wszyscy wielcy ludzie zawdzięczają coś ze swej wielkości dobroczynnemu wpływowi matki lub żony, że głębokie myśli nieraz przez całe życie tkwiły w głowie filozofów i nie prędzej wystąpiły na jaw w mowie lub w czynie, aż znalazła się kobieta dość silna do zbudzenia ich i wprowadzenia w życie. Dla takiego męża serafin jasnowłosy byłby tylko ciężarem, słabem dziecięciem.

Innego zato nie obchodzi ani piękność fizyczna, ani zalety umysłowe; szuka on przedewszystkiem kobiety, któraby mu przyniosła do nowego gospodarstwa pokaźny zasób gotówki, mogącej mu zapewnić byt dostatni i niezależny. A gdy ją znajdzie, wierzy, iż dostał idealną żonę.

Nie trzeba chyba jednak zapewniać, że żadna z powyżej opisanych kobiet nie może się nazwać idealną żoną, bo jeżeli każda z nich posiada jakieś specjalne zalety, które ją czynią dla danego mężczyzny miłą, to brak jej innych, które ogół płci brzydszej od niej odstręczają. I nic dziwnego, że naprawdę idealnej kobiety niema na świecie, bo przecież Pan Bóg nie mógł zlać na jedną istotę wszystkich swych łask, odmawiając ich innym. Inna rzecz, że jedne kobiety posiadają więcej zalet, inne mniej, a która ich posiada więcej, ta jest bardziej zbliżona do ideału, o którym jednak wszyscy napróżno marzą.

Ale i wymagania mężczyzn nie są jednakowe, co bowiem wystarczy przeciętnemu śmiertelnikowi, to dla umysłów wyższych jest niczem. Dlatego też nieraz zdarza się, że ogół uważa jakąś kobietę niemal za ideał, a mąż, który ma bardziej wygórowane wymagania, jest z swej połowicy bardzo niezadowolony. Cóż jednak poradzić? Połączywszy się węzłem dozgonnym z niedobraną dla siebie istotą, pędzi sam żywot zgorżkniały, zatruwając przytem życie i swej towarzyszce.

DONAT ŁESIOWSKI. (Przedruk wzbroniony).

Szlakiem idei.

Powieść

IX.

Gdy szepelowce się dowiedzieli, że są we wsi Polacy, zaczęli się odgrażywać i poszukiwać najpierw pana Wiśniowieckiego, jako kierownika i dowódcę Polaków — lecz na szczęście nie znaleźli go, gdyż życzliwi chłopi dobrze go ukryli.

Późno już w nocy zaczęli planowy rabunek; chodzili po chatach kontrolując dokumenta, a przy tej okazji, co im się popadło w ręce.

Na czele ze swym starszym, weszło też kilku do chaty, w której się znajdowali Gustaw, Marysia i Kazimierz, oraz jeszcze kilka osób.

Typy kozaków były zbójeckie i odrażające — weszli też buńczucznie i z hałasem, budząc postrach w podróżnych Polakach.

Chłop, gospodarz chaty, wylękniony również ich najściem, zapytał czego chcą. Ale w odpowiedzi rzucili mu tylko obelgę i zabrali się do rewizji, przetrząsając niemal każdy kąt chaty, i rabując co się tylko dało. Potem przystąpili do podróżnych, rozkazując im oddać pieniądze, w razie przeciwnym grożąc śmiercią. Bez wahania też każdy oddał co miał, gdyż wołał uratować życie aniżeli pieniądze.

Wychodząc z chaty rozkazali, by się nikt nie śmiał ruszyć, gdyż inaczej spotka go niechybna śmierć, a chłopu kazali iść do stodoły, gdzie stały wozy podróżne i wyprowadzić wszystkie tam stojące konie — co też przestraszony wieśniak uczynił, wracając najprędzej z powrotem do chałupy.

A żołnierze podśpiewując, zapowiedzieli przez otwarte drzwi, że wszyscy Polacy są aresztowani, i rano nastąpi sąd pozaoczny, a potem „co trzeci strzelanie“.

Śmiejąc się i rzucając ohydne obelgi odeszli po chwili, uprowadzając z sobą konie podróżnych, a w mrocznej izbie zapanowałn śmiertelna cisza przerażenia.

Tej nocy nikt nie spał, a zadumany step był znowu świadkiem rzeczy strasznych, patrząc na nie ze zwykłą sobie obojętnością.

W rozdołach i wydmach, śmiały się bezgłośnie czarne duchy i rozczochrane wiedźmy, szydząc z życia ludzkiego, co jak bańka mydlana pękało za każdym podmuchem nienawistnego ich oddechu. A czarne ślepia wpatrzone w rozgrywające się harce śmierci płonęły ogniem nienasyconego pożądania.

W ciemnej izbie, tymczasem, cicho rozmawiali z sobą strwożeni wędrowcy, a gospodarz modlił się klęcząc, i co chwila bil się w piersi ze skruchą.

Gustaw i Marysia siedzieli tuż obok siebie, a z drugiej strony Kazimierz, który jak brat rodzony opiekował się dziewczyną każdej chwili.

Powoli przycichły rozmowy, a pomęczeni ludzie czekali z trwogą nadchodzącego poranku.

Gustaw i Marysia, nic też nie mówili — bo i cóż można było jeszcze mówić w tą straszną noc, kiedy zdało się, że śmierć czarnemi skrzydłami zawisła ponad gromadką polskich wędrowców, a szydząc z ich długich nadziei, przecina swym krwawym mieczem drogę do ukochanej Polski...

Oczy tylko wpatrzone w tafle błyszczącego okna, błądziły wysoko ponad czarną nocą, i po mlecznych szlakach usianych miljardami gwiazd, szukały odpowiedzi na to okropne pytanie tkwiące w duszy każdego: „co będzie jutro?“

Gustaw pierwszy otrząsnął się z przykrego wrażenia. W piersi jego nagle zagrała jakaś nuta nadziei, co nie pozwalała zwątpić w ostatnie zwycięstwo...

Wszak już tyle razy patrzał śmierci w oczy, a zawsze jej uchodził cało — czemużby więc teraz miał zwątpić, gdy był już tak bliskim celu swych wszystkich marzeń i snów?....

Bo Polska, o której śnił, była już niedaleko, a przy nim siedziała dziewczyna ukochana, co dotrzymawszy słowa szła wraz z nim na śmierć i życie... Zaczął więc wierzyć w swą dobrą gwiazdę, która go do tej pory nie opuszczała, i patrzeć z pogodą w nieznane jutro.

Tymczasem, tejże samej okropnej nocy, w innym domu po krótkiej naradzie, zaryzykowało swe życie ośmiu Polaków, którzy chcąc się ratować przed szepelowcami uszli w ciemność nocy, szukając w ucieczce ratunku.

Jakiś czas kryli się poza chatami i stodołami, przedzierając się w jakie ustronne miejsce — lecz że wieś była gęsto osaczona placówkami, więc rychło ich spostrzeżono. Zagrały wnet salwy karabinów i osiem ciał padło, konając wpośród cichych zadumanych pól....

Osiem ciał martwych leżało na puchowym śniegu, a ponad niemi roztaczał się w przestrzeni, wolny świat... do którego uleciały ich wyswobodzone już dusze...

I oto sprawdziły się na nich słowa pieśni, że: „Kto zwycięży wolnym będzie, kto umiera wolnym już...

Smutna cisza rozpostarła się ponad ciałami umarłych..... czasem tylko wiatr lekko zakołysał, czesząc ich porozrzucane włosy, a krew sącząca się z niezastygłych ran plamiła swą czerwienią białe śniegowe podłoże...

I wszędzie, gdzie tylko było okiem rzucić czerwienił się ślad krwi... plamiąc nietylko śniegi ukraińskie, ale i dusze tych co krew tą przelewali.

A gdy po czarnej nocy zajaśniało słońce nad skrwawioną ziemią, mgławe jakieś opary zaczęły się unosić ku górze i przysłaniać powoli słoneczny blask.

W oddali tymczasem słychać było kanonadę artylerji — żołnierze zaś chodzili po wsi grupkami z zafrasowanemi twarzami, co zwiastowało, że sytuacja się dla nich pogarsza.

Widząc Polacy, co się dzieje, i nie czekając dalszych następstw, zebrali się wszyscy i podążyli do dowództwa miasta, które stało w szkole wiejskiej. Na spotkanie ich wyszedł „ataman“, o wyglądzie bandyty, a w uniformie generała samozwańca.... pytając czego chcą.

Starsi z grona wystąpili, prosząc by oddał im dokumenty, oraz konie i wozy z rzeczami. „Ataman“ po namyśle rozkazał im oddać konie i wozy; lecz zamiast swoich koni, dostali nędzne wymordowane głodem szkapiny — pieniądze i rzeczy również poprzepadały. Dokumenty podróżnych oddał „ataman“ starszemu żołnierzowi i rozkazał pod eskortą zaprowadzić ich do Lityna, gdzie mieli być oddani w ręce sztabu.

Prosili by im choć pozwolił zabrać z sobą ciała poległych druhów i pochować we wspólnej mogile — lecz na to im odpowiedział, iż nie wolno ruszać, gdyż pogrzebią sami, gdzie im się podoba.

Ruszyli więc pod osłoną szepelowskiej eskorty, która towarzyszyła im w liczbie dwudziestu żołnierzy na koniach, w bojowym pogotowiu.

Nad okolicą panowała cisza, tylko z pól pokrytych śniegiem płynęła głuchym echem skarga pomordowanych ofiar, a w bladych promieniach zimowego

słońca, szli żywi naprzód... i wokoło nich stąpali ciężko uzbrojeni żołnierze.

Pod samym Litynem spostrzegli podróżni jakiś niepokój wśród żołnierzy, co chwila rozjeżdżalii się na zmianę, po dwóch lub trzech w okolicę, a na twarzach ich widać było jakiś niepokój i pomieszanie.

Nie dojeżdżając też do Lityna zawrócili konie, a oddawszy tylko pakunek z dokumentami podróżnym, poczwałowali z powrotem do Mikuliniec.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jurek „Zuch" i Królewna Lala

albo

Bajka o zaklętej królewnie

(Dokończenie).

Wsiadła na gałąź i hajda w ciemną nockę!

Już też i krzaka dobiegła, aby stąd pieszo wrócić od zamku. Lecz o dziwo! Z krzaka ułamane dwie gałązki.

— Pewnie mię ktoś wyśledził — pomyślała — a najpewniej to nikt inny, tylko ten rycerz, który mię pilnował.

Zawrzała gniewem.

— Jakto, więc jednak mię ktoś upilnował? O niedoczekanie jego, więc jabym się miała wyrzec władzy nad duchami? Nigdy! Zresztą — poweselała — chcąc mu tego dowieść, musi mieć dowód!

Wpadła zdyszona do sypialni... a tu rycerz stoi wyprostowany, jak struna, nie jak inni śpiący na podłodze. Więc też odrazu do niego:

— A ty nikczemny człowieku, jak śmiałeś opuścić sypialnię bez mojego pozwolenia? Ja ci tego nie podaruję. Postaram się u ojca, że będziesz katowany i męczony, i będziesz gasł powoli, jak ogarek, nie mogąc umrzeć. Bo żebyś to chociaż miał jakiś dowód, to ostatecznie musianoby ci uwierzyć, a tak... ha... ha... ha! próżne bo próżne twe wysiłki.

I z uśmiechem djabelskim rzuciła się na łóżko, bo była zmęczona nocną wędrówką. Zasnęła... Rycerz oblany potokiem jej słów, milczał, radując się w duchu z odniesionego zwycięstwa.

Nadszedł dzień przesłuchania. Królewna uprzedziła Jurka i poszła z wyrzutami do ojca na nieposłusznego rycerza. Lecz król-ojciec wysłuchał jej łagodnie, potrząsł siwą głową i odparł:

— Moja córko, tylko spokojnie, zaraz go tu zawołamy, powiesz mu to wszystko w oczy.

Lala zacięła pogardliwie usteczka ponsowe i rzekła:

— Dobrze.

Oficer adjutant wprowadził Jurka do sali posłuchań.

— No mój rycerzu, jakże to poszło pilnowanie tej nocy? — powiedział król do niego.

— Doskonale N. Panie.

I tu opowiedział całą hstorję od początku do końca, podając na dowód dwie filiżanki i łyżki. Król uradowany wziął go w objęcia.

— Synu mój, zaraz każę sprawić wesele.

Lecz Lala rozzłoszczona poczerwieniała i rzekła ostro:

— Nie tak prędko mój ojcze, jeszcze dużo wody upłynie, zanim powitasz w swych progach zięcia; czar niezupełnie zdjęty. Teraz musisz kazać mię zanieść do kościoła w złotej trumnie i postawić co noc na straży rycerza.

Powiedziawszy to, zaklęła się i padła martwa na podłogę, obrósłszy w białe, miękkie pierze. Ojciec się bardzo przestraszył tak nagłym obrotem sprawy, lecz nie tracąc nadzieji, kazał zrobić złotą trumnę. Dworki płacząc rzewnie odziały pięknie swą panią i 3 pary koni w purpurowych kapach, w złoconej karecie, zawiozło ją do katedry. Ciało złożono pod ołtarzem.

Płakał i Jurek, a nie mógł się utulić w żalu, przeto siadłszy na wiernego swego siwka, pognał hen w świat!

Tymczasem co noc stawiał król wartownika u trumny królewny i co noc ginęli oni zagadkowo. Znów tracił król dzielnych rycerzy, trapił się i martwił. Aż wreszcie powrócił Jurek ze świata. Niezwłocznie udał się do króla i prosił go, aby mógł choć jedną noc trzymać straż u trumny ukochanej królewny. I poszedł nasz rycerz ze smutkiem, tęsknotą, ale z modlitwą w sercu do katedry. Szedł tak wolno, przytłoczony zmartwieniem, że nie spostrzegł siwego dziadusia, który mu zaszedł drogę.

— A dokądże to panie rycerzu tak późno droga? Poco ten smutek na twej młodej twarzy?

Wówczas Jurek wylał całą gorycz ze swego serca, opowiadając nieznanemu staruszkowi swe dzieje. A ten jak dobry ojciec pocieszył go i dał zbawienną radę, bez którejby Jurek Lali nie wybawił. Kazał mu zaraz wrócić do zamku i poprosić króla o 50 kg włoskich orzechów. — Gdy będziesz już w kościele, rozsyp gęsto orzechy po posadzce kościelnej, a na środku postaw miednicę z wodą święconą, sam zaś schowaj się za boczny ołtarz św. Mikołaja, a dobrze, by cię nikt nie spostrzegł.

Jurek wypełnił ściśle radę dziadka, który znikł mu z oczu i siedząc w ukryciu, spoglądał na kościół. Bim... bim... bom... 12-sta... mimowoli rycerzowi stają włosy na głowie, bo oto wieko trumny się podnosi i wychodzi z niej rólewna-upiórk Cała biała jak śnieg od jasnego pierza, włosy rozczochrane, ręce roztworzone drapieżnie i wyjąc, biegała po kościele, szukając czegoś. Zła bo jednak była droga po orzeszkach, dlatego co chwilę padała, podnosiła się i jakby groziła niewidzialnemu wrogowi. Wreszcie rozzłoszczona poczęła chrupać orzechy i musiały jej smakować, bo godzina już minęła, a ona odchodząc je z żalem, wróciła do trumny. Wtenczas rycerz wyszedł z za ołtarza i pokazał się jej.

— Czekaj ty czekaj — zawołała, grożąc mu — już ty żywy na drugą noc nie wyjdziesz, i zatrzasnęła ze złością wieko.

Rankiem o godz. 6-tej wychodzi ksiądz z mszą św. i widzi rycerza klęczącego u stopni ołtarza, a modlącego się żarliwie. Gdy tylko król się dowiedział, że Jurek jest żyw, coprędzej przybył do katedry i uściskał go serdecznie, błagając zarazem, aby wytrwał do końca. Jurkowi nawet nie potrzeba było tego mówić.

Na drugą noc szedł Jurek ochotniej na posterunek. Lecz tu ukazał się mu tensam dziadek, co poprzedniego dnia i dał nieco odmienną radę: „Dziś uczynisz tosamo co wczoraj, tylko usiądziesz na miejscu organisty, na chórze".

Powiedziawszy to zniknął w tajemniczej nocy.

Ledwie 12-ta godzina wybiła, upiór wyszedł z trumny i dalejże za ołtarz św. Mikołaja; ale tu rycerza nie było. Całą swą złość wywarła więc Lala-upiór na orzechach, gryząc je zawzięcie, aż się echo rozlegało. Jurek pobladnął nieco, bo spostrzegła go na chórze i biegnąc ku niemu, opadała nieco z piór; wtem wybiła 1-sza godzina i musiała wracać do trumny. Daremne były jej groźby, że w trzecią noc schrupie go, nie zostawiając ani kosteczki. Jurek ufny w pomoc Boską, drwił z jej bezsilnych gróźb.

Trzecią nocą miał najtrudniejsze zadanie Jurek „Zuch“, a także z polecenia owego dziadka, który dokonawszy swego, uniósł się w promiennej chwale i rozpłynął w ciemnościach nocnych.

Oto, co uczynił nasz rycerz, a potrzebował do tego wytrwałości i pomocy Bożej. Przyszedłszy trzecią nocą do kościoła, nakreślił święconą kredą grubą kreskę od muru do muru, dzielącą go od królewny. Już dwunasta wybiła i Lala-upiór leci z rozwianym włosem prosto ku rycerzowi. A on klęczy niewzruszony u wielkiego ołtarza i modli się żarliwie. Kreska narysowana przez Jurka, stała się dla królewny nieprzebytą, głęboką przepaścią. Nadaremnie prosiła go i błagała, aby spojrzał na nią, ręki podał lub choć palec pokazał; on klęczał niewzruszony u wielkiego ołtarza i modlił się żarliwie. Królewna bezsilna w swej złości, poczęła opadać z piór; a godziny upływały i już świt ubielił smukłe wieżyce katedry. Doszła godzina 5.45 minut; wówczas królewna bez jednego piórka na ciele, piękniejsza niż przedtem, przekroczyła kreskę i uklękła po prawej stronie rycerza i wzniósłszy pobożnie duszę do Boga, złożyła Mu dziękczynienie. Król trwożny, więcej niż zwykle, przybiegł wczas do kościoła, a widząc córkę swą wybawioną u boku pięknego rycerzyka, podziękował gorąco Bogu, zaś dla uwiecznienia tego szczęśliwego dnia sprawił im wspaniały ślub i wesele. Po tej uroczystości odbyła się koronacja rycerza na króla, bo siwy monarcha za słabą miał głowę i zbyt radosną na ciężką koronę.

Na te uroczystości zjechali się monarchowie z całego świata, winszując młodemu małżonkowi wszystkiego najlepszego i zapewnając swą przyjaźń. A jeden tylko Polak wśród wszystkich gości, zapamiętał to dobrze i jak sam powiedział:

I ja też tam byłem
Miód i wino piłem
A co usłyszałem i co zobaczyłem
Na wieczną pamiątkę, w bajce umieściłem!

Wiara.

— Czy... niema już nadziei...?

Oczy doktora ze współczuciem spojrzały na jej pełną rozpaczy twarz, na łzy, które ciche, duże, bolesne, perłami spływały po policzkach.

Milczał. Cóż miał powiedzieć tej matce, której ukochane, jedyne dziecko gasło jak dopalająca się świeca?

— Doktorze... — wpada mu w uszy łkaniem przerywany szept.

Unikając więc jej spojrzenia, rzekł:

— Nie... ja nic już nie mogę, chyba Bóg... nie w ludzkiej jest mocy uratować to dziecko...

Nie słyszała kiedy odszedł. Stała bez ruchu, z rękami opuszczonemi wzdłuż ciała, z nadmiaru rozpaczy nie zdając sobie sprawy z grozy położenia. W skroniach czuła dziwny, aż do bólu ucisk, głucho tętniąca krew przysłaniała wzrok.

Przez pokój wionął cichy jęk dziecka.

Drgnęła, zbielałą twarz zwróciła ku łóżku, gdzie pośród bieli poduszek czerniała główka jej syna.

— Mamusiu... wody...

Oprzytomniała. Drżącą ręką przytknęła napój do spiekłych ust dziecka.

— Pij Stachu, pij ptaszyno moja biedna, pij...

— Mamusiu, boli...

— Przestanie Stachu, przestanie... — obie dłonie położyła na gorącą główkę dziecka. Bezradne oczy biegały po pokoju pełne męki w swej bezsile. Jakżeby chciała ulżyć temu maleństwu, jakże bardzo! W jaki sposób? Czem? Wszakże doktór powiedział...

Malec zdawał się zasypiać. Delikatnie zdjęła dłonie z główki jego i stąpając cicho, podeszła do okna, wysyłając przez szyby wzrok swój hen, w błękit.

— Nic już pomóc nie mogę, chyba Bóg... — przewalały się w jej głowie słowa doktora.

Bóg... oto szuka go rozpalonemi oczyma w tej błękitnej topieli, całe cierpienie serca, bezbrzeżne cierpienie matki wysyła w bezmiary wszechświata...

Drzwi otwarły się cicho, wszedł ojciec.

Z spojrzenia żony wyczytał całą prawdę, bez słowa więc usiadł przy łóżeczku, gdzie gasło młode życie i ukrywszy twarz w dłoniach, zadumał się głęboko. Cierpiał po męsku...

— Adamie, idę do apteki — usłyszał głos żony. Szelest kroków, przymknięcie drzwi i cisza.

Biegła przez ulice, trzymając w ręce maleńki pakiecik z lekarstwem. Od północy nadciągała burza, zawarczał głucho piorun, spadły ciężkie krople deszczu.

Przechodziła koło kościoła, którego drzwi otwarte były szeroko. W mrocznej głębi migotały złote płomyki świec.

— Bóg... lekarz rzekł, iż tylko Bóg... — kołatało jej w głowie.

Wolno weszła w kościół. Ogromna cisza objęła ją, zdało się jej naraz, iż znalazła się w jakimś innym świecie, w świecie ciszy i ukojenia. Z oczyma utkwionemi w drżące płomyki świec zbliżała się ku ołtarzowi.

Z ołtarza spojrzały na nią pełne nieziemskiego wyrazu uduchowione oczy św. Teresy od Dzieciątka Jezus, przecudnie piękne, napełnione słodyczą i dobrocią.

A więc do tej to cudownej istoty zwabiły ją złote płomyki świec, do tej, która tylu już nieszczęśliwych ukoiła, z której ręki sypią się dobrodziejstwa każdemu, kto tylko z szczerem sercem i ufnością zbliży się do niej.

Niby burzą złamany kłos runęła na stopnie ołtarza, modlitwą pełną żaru prosząc o uleczenie dziecka swego tej, o której tyle dobrego słyszała.

Nad miastem przeciągała straszna burza, huk piorunu raz wraz wstrząsał murami kościoła.

Nie słyszała. Zatopiona w serdecznej modlitwie, w którą włożyła całą swą duszę, nie zdawała sobie z niczego sprawy prócz jednej myśli: dziecko!

Zwolna dziwny spokój jął wypełniać całą jej istotę, słodycz ócz wielkiej świętej przelała się w duszę jej znękaną, wyrywając z bolałego serca wielkie westchnienie ulgi.

Dziwnie spokojna podniosła się z klęczek i z takim już uczuciem weszła do mieszkania swego.

Mąż zdziwiony patrzał na spokojną jej twarz, na nadzieją błyszczące oczy, które wyrazem swym iskierkę nadziei zapaliły w jego myślach. Zbliżył się do niej, wziął za ręce i spytał:

— Gdzie byłaś tak długo?

— U Boga! — odparła z dziwnym uśmiechem.

Malec w nocy spał lepiej, rano zauważyć już było można polepszenie. Koło południa przyszedł lekarz. Spodziewał się zastać chłopczyka w agonji, tymczasem zdziwiony był niepomiernie widoczną już zmianą na lepsze.

Gdy chłopiec, wstawszy z ciężkiego zapalenia, mógł chodzić, lekarz patrząc na niego, jak wychudły ale zdrów przechadzał się po ogrodzie, rzekł:

— Cud. Tylko ręka Boża zapaliła napowrót ten gasnący kaganek...

Orlica.

POKŁON CESARZA OTTONA.



Wprawdzie wiarę chrześcijańską pierwszy przyjął i zaprowadził w Polsce Mieczysław I, ale nie byłaby ona się w niej utrwaliła, gdyby nie syn jego i następca Bolesław Chrobry, który dokładał wszelkich sił, aby wielkie dzieło jego ojca zapuściło głęboko korzenie wśród narodu polskiego. Bolesław Chrobry był wielkim wodzem i dzielnym wojownikiem, więc też wszędzie znajdował posłuch i ścisłe wykonynywanie swoich rozkazów. Pobił on dokoła ludy, które go słuchać nie chciały, i orężem zakreślił granice swojej monarchji od gór Karpackich po morze Bałtyckie. Zajął nawet i trzymał przez dłuższy czas Pragę czeską, dokąd go Czesi sami wezwali; zdobył Kijów nad Dnieprem i wjechał przez złotą bramę do tego miasta, uderzając o nią mieczem.

Z Niemcami wiódł długie, zwycieskie boje, aż sam cesarz widział, że rady Bolesławowi nie da i zawarł z nim pokój w Budziszynie. Po pokoju tym wykupił ciało św. Wojciecha, męczennika za wiarę świętą od pogańskich Prusaków na wagę złota i pochował je w Gnieźnie. Kiedy w roku tysięcznym cesarz Otto III odbył pielgrzymkę do grobu świętego męczennika w Gnieźnie, podejmował go Bolesław Chrobry wspaniale i hojnie obdarował. Cesarz tak był ujęty postawą rycerską, bogactwami i gościnnością księcia polskiego, że podczas uczty własną koronę włożył na jego głowę. Ojciec święty przysłał mu później koronę, którą uroczyście koronował się na króla polskiego. Kiedy zmarł w roku 1025, naród obchodził przez cały rok ciężką żałobę po wielkim i tak potężnym królu.

Na obrazku naszym widzimy cesarza Ottona III, klęczącego przed grobowcem świętego Wojciecha, i bijącego czołem przed tym, który porzucił swoją czeską ojczyznę i poszedł zjednywać dusze pogańskich Prusaków dla wiary Chrystusowej. Zaiste piękna to chwila: bo oto pan i władca wielkiego i bogatego państwa oddaje hołd temu, który swoją świętością przewyższył w dostojeństwie wszystkich wielkich tego świata. I dziś, gdy o potężnych niegdyś monarchach nieraz zaledwie parę słów historja tylko wspomni, a ogół niemal nic o nich nie wie, to życie i czyny świętego Wojciecha znają wszystkie narody świata, znają je biedni i bogaci, starzy i młodzi i wzywają jego pomocy w swych cierpieniach i wstawiennictwa do Boga, a o ile proszą z ufnością, doznają niezawodnej pomocy i pocieszenia.



MACIEK BZDURA GADA:

Do bani z wszyćkiemi weselami! Na kuzde wesele trzeba pichcić i gdysić nieraz i bez dwa tygodnie, a jak sie na wesele tego tałatajstwa napcha, to mało co więcej jak na jeden dzień wystarcy. Bo u nas to ludzie jasności Boskiej w głowie nie mają! Jak zaprosis, Kapuste z Kapuściną, to myślis, ze ino oboje Kapustowie przyndą. A juści! Zaraz za niemi przylizie jedno i drugie Kapuściątko i będzie sie wele przypiecka swendać, a trudno mu coj nieco nie ścibnąć, boby sie zaraz i Kapusta i Kapuścina obrazili i do samych krzcin do zadnego z młodychby sie nie odezwali. Zaraz, to nie znacy tego samego dnia, ale nazajutrz po weselu, jakby juz nic nie było wypić, ani spaplać. A jak ze wsi za kuzdemi gospodarzami przylizie osiemnaścioro dziecek, toby konia z kopytami zjedli a niedopiero to, co na wesele było przystrojone. A w Psi Wólce dziecek nie brakuje, bo w kuzdy chałpie co rocek to prorocek, a casem i dwa. I zeby to choć to, ale często gęsto, jak same gospodynie nie mogą nadolić, to jem i panienki pomagają, więc tez w Psiej Wólce tego tałatajstwa nie brakuje, a na przysły rok, jak nas prefesur obrachował, na sto numerów we wsi będzie przybytku ze dwie kopy.

Takie to ludne są wesela w nasej kochanej Polsce, takie było i Wawrzkowe. Zesła się cała Psia Wólka, zesła Zatracona Wieś a i z okolice ilo tyle przybyło, bo u nas ludzie mają dobry węch i zaraz pocują, gdzie i co mozna za bezdurno przełknąć.

Marcysia, jak Marcysia! Choć to było juz po ślubie, ale jesce miała w sobie panieńską nature, więc sie jej ślipia za chłopakami iskrzyły, ze aze hej! Zreśtą co sie dziwić Marcysi, która juz przy ołtarzu chłopa powąchała i wie cem pachnie, kiedy kuzda dziopa, cy ona jesce w panieństwie chodzi, cy zeniata, cy tez juz swojego nieboscyka pochowała, to kuzda, powiadam, cy wsiowa, cy miastowa, na chłopa leci, jak płotka na przynęte. W tem ino róznica, ze jedne lecą otwarcie i na te cała wieś wymyśla, nazywając je bezecnicami, a inse tak pocichu, coby nikt nie widział, i te uchodzą za bardzo świątobliwe. Ale pono, jak pada nas prefesur, nima takiej baby na świecie, któraby od siebie chłopa odepchnęła, jakby on ino chciał, a nikt tego nie widział.

Co się więc dziwić Marcysi, ze hulała to z tem, to z owem, a jak się jej juz mokro zrobiło, to wychodziła z swojem tonecnikiem za stodołe, aby sie na wietrze troche wysusyć. A cy to ona jedna ino? Wychodziły i inkse, a jej przecie najwięcej wypadało, bo była juz przy łontarzu przez jegomości zaasekurowana od wszelkiego niescęścia! Bez to wszyćko nie mogła zwazać co i jak kto sie gości, latego tez kto był śmyśniejsy, to głodu nie cierpiał, a kto na siebie nie uwazał, to sam sobie był winien.

Ja com jesce nawet przed urodzeniem był nie śmiały, tom się tam bardzo sam do wszyćkiego nie pchał i latego jakby bez dwa dni wszyćko dokumentnie zlicył, co kto zjad i wypił, toby na mnie więcej, jak ze trzy bochenecki chleba i pół beculecki piwa nie wypadło. A co dopiero mówić o takich, co o swoje przedsięwzięcie dbać potrafili, a na których nie miał kto uwazać.

Bo i któz miał uwazać, kiedy, jak powiedziałem, Marcysia hulała i co pół godziny sie wietrzyła, a Wawrzek siad sobie pomiędzy Jacentem i Walentem i swoją nieboscke, świeć Panie nad jej zmarłą dusą, wspominał. A po kuzdem wspominku swoją okrutecną załość słodzoną okowitą przepłukiwał.

— Co to — powiadał — dzisiejse dzieuchy! Popatrzcie ino kumie! W pasie mikrna, w plecach mikrna, w brzuchu mikrna! A nieboscka! He, he, kumie, pamiętacie przecie, końmiby na niej nawrócił! A i do jedzenia dzisiejse dziopy ani sie umyły do dawniejsych! Tego śturnie, tamtego liźnie i juz po jedzeniu. Dawniejse, moiściewy, jak sie która przysadziła do donicy, to jaz skorupy leciały! Takie one były i taką była moja nieboscka. A Marcysia co? Lata, jak ten wiecheć i nie wiada, cy w tańceniu do cna sie nie roztrzęsie!

Przez Marcysine tańcowanie i Wawrzkową załość ni miał kto na weselników uwazać, to tez juz w drugi dzień wele połednia nie było ućciwemu człowiekowi co do gęby wrazić. A z takiem weselem do bani!

A na dobitek to i bitki porządnej nie było, to ze Franek Podlasek Wojtkowi Owsiance łepete rozcharatał, ze Bartek Wawrzka Zalaska okulawił, ze na Margośce Talaszonce pludry podarli, to sie nie rachuje, bo co to za wesele, co nima ani jednego nieboscyka? Takie zwykłe rzecy to w kuzden dzień sie stać mogą, a nie trza na to dopiero wesela!!



Takim szczęśliwy.

Nie wiem, jak tam, gdzie, komu
I skąd szczęście przychodzi,
Bo ja szczęście mam w domu,
Które życie mi słodzi.

Kiedy jadę po siano,
Lub po zboże na pole
Z mą dziewczyną kochaną
Los nad wszystkie mój wolę.

Parska siwek a Hanka
Szczerzy do mnie oczęta
Do wieczora od ranka
I podaje rączęta.

Takim wówczas szczęśliwy,
Takie szczęście z ócz tryska,
Gdy zaparska mój siwy,
A dziewczyna uściska.

Antoni Socha.

Ślepa niewolnica.

Rozdział XVII.

Zemsta Sobieskiego.

Jezdni Doroszenki, którzy ścigali zbiegłego Sobieskiego, powrócili nic nie dokazawszy do obozu pod miastem.

Nie udało się im pochwycić zbiega. Noc sprzyjała jego ucieczce. Hetman rzucał się na wszystkie strony. I Czerwonego Sarafana nigdzie znaleść nie było można.

Gdy jezdni zawiadomili hetmana, że Sobieski uszedł, wpadł on w największą wściekłość.

Klął i zaciskał pięści.

— Czemuż zaraz wczoraj nie zabiłem go szablą? — wołał zgrzytając zębami, — dlaczego zostawiłem go przy życiu? A teraz pomści się krwawo! Daleko jednakże ujść nie mógł! Za nim!

Doroszenko w towarzystwie trzech atamanów opuścił obóz i puścił się na pola osłonięte ciemnością nocy. Pragnął wyszukać Sobieskiego. Głos wewnętrzny mówił mu, że on sam i jego sprawa były stracone, jeżeli ten zuchwały a rozdrażniony dowódzca polski zostanie wolny i przy życiu.

Wściekła pogoń rozpoczęła się.

Doroszenko i jego towarzysze udali się w kierunku, w którym zbieg miał się oddalić według wskazania placówki. Pędzili galopem jak na wyścigi.

Nad ranem jednak dał się słyszeć głos przestrogi jednego z atamanów.

Jeźdźcy zatrzymali konie.

W niejakiej odległości spostrzegli na obszernej płaszczyźnie małe ognisko.

— To placówka nieprzyjacielska! — zawołał ataman, — nie powinniśmy się pokazywać.

— Tchórze! — krzyknął hetman z wściekłością, — Jan Sobieski może tam jest.

Chciał puścić się prosto ku placówce, gdy jeden z jego towarzyszy wstrzymał jego konia za cugle.

— Zginąłbyś tam, hetmanie! — zawołał, — czy nie słyszysz w oddali szmeru podobnego do brzęku pszczół? Tam jest armja nieprzyjacielska.

Doroszenko powstrzymał się i spojrzał we wskazanym kierunku.

— Czy chcesz dopuścić się bitwy, hetmanie, — wołali atamanowie przestrzegając, — toby nam na kark ściągnęło całą armję i nasza przednia straż w Żwańcu byłaby zgubioną!

Doroszenko uznawał słuszność tej uwagi. Trzeba było o ile podobna najprędzej z oddziałami stojącemi w Żwańcu i pod tem miastem, cofnąć się do głównych sił. Wraz z temi dopiero Doroszenko mógł przyjąć stanowczą bitwę.

Skręcił konia i puścił się ku Żwańcowi. Atamanowie poszli za jego przykładem. O ściganiu Sobieskiego, nie można było myśleć.

O wschodzie słońca, Doroszenko i jego towarzysze powrócili pod miasto.

Natychmiast zatrąbiono do odwrotu.

Cała silna przednia straż kozacka opuściła miasto i obóz pod niem. Oddziały cofały się pospiesznie do oddalonych o mil kilka głównych sił, które Doroszenko powołał do broni.

Była to armja z blisko dwudziestu tysięcy wojowników. Doroszenko chciał z tą siłą oczekiwać nadciągającego nieprzyjaciela w dogodnej pozycji i stoczyć bitwę korzystną dla siebie.

Sobieski przybył o świcie do placówek swojej głównej armji, która szybko nadciągała po powróceniu do niej małego oddziału z dwiema armatami.

Armja polska liczyła wprawdzie zaledwie piętnaście tysięcy ludzi, ale Sobieski ożywiony był chęcią pokonania Kozaków temi siłami i pomszczenia się śmierci poległych.

Gdy przybył do obozu, ukazanie się jego między dowódzcami i żołnierzami obudziło najwyższy zapał i radość.

O brzasku obszedł Sobieski obóz i oznajmił garnącym się do niego żołnierzom, że ich bezwłocznie poprowadzi do walki i zwycięstwa.

Powoli nadciągnęła kawalerja i armaty i Sobieski odbył przegląd wojska. Dosiadł konia. Podkomendni dowódzcy otaczali go.



Z wzniesioną szablą rzucił się na nieprzyjaciół.

Przejeżdżał od oddziału do oddziału, głośnemi okrzykami witany, wszędzie oznajmiał bliską bitwę żądnym boju wojownikom, bitwę, która miała rozstrzygnąć los kampanji.

Wschód słońca oświecił powolnie wyruszające oddziały polskie. Sam Sobieski prowadził straż przednią.

Tak po upływie kilku godzin armja zbliżyła się do pogrążonego w martwej ciszy Żwańca. Tu jednak nie było już nieprzyjaciół. Sobieski ze swemi pułkami prowadził więc pochód dalej aż do zapadnięcia nocy. Następnie nocą dał swym żołnierzom wypoczynek.

Obie armje stały teraz tuż przeciw sobie.

O wczesnej godzinie rano forpoczty polskie spotkały jeden oddział kozacki.

Sobieski kazał zatrąbić do ataku i sam stanął na czele swojego wojska.

Pułki odważnie posuwały się naprzód i wkrótce rozpoczęła się na wielkiej objętej wzgórzami płaszczyźnie bitwa zapalająca się bardziej z każdą chwilą.

Doroszenko znajdował się również na czele swoich pułków i kierował bitwą.

Obie strony walczyły z pogardą śmierci, ale przykład Sobieskiego, porywał żołnierzy do najenergiczniejszego nacierania, a armaty jego niosły śmierć i zniszczenie w szeregi Kozaków i Tatarów.

Długo wahały się losy bitwy na obie strony. Krew zbroczyła ziemię, a śmierć zbierała żniwo. Hetman kozacki miał więcej żołnierzy, mógł więc odświeżać siły, które wysyłał przeciw Polakom.

Godziny upływały w gorącem starciu. Nikt nie chciał ustąpić.

W tem Sobieski na czele swoich jeźdźców przedsięwziął zuchwały atak z boku. Sam z wzniesioną szablą rzucił się na nieprzyjaciół, a temu silnemu natarciu Doroszenko nie mógł się oprzeć.

Jakkolwiek Sobieski nieprzyjacielską lancą został raniony w ramię, nacierał jednak dalej na czele porwanych jego przykładem rycerzy i skrzydło kozackie złamało się.

Gdy wojska polskie ujrzały to, gdy spostrzegłszy swego hetmana na koniu w pośród chwiejących się nieprzyjaciół, rzuciły się za nim z głośnym okrzykiem zwycięstwa i zabijały wszystko, co spotkały po drodze.

Całe skrzydło wojsk Doroszenki zostało otoczone. Inne części jego armji rozpierzchły się. On sam nie był w stanie powstrzymać spłoszonych.

Sobieski wziął przeszło pięć tysięcy nieprzyjaciół do niewoli, a następnie sam ze swoją jazdą kierował ściganiem uciekających, których wielu zginęło lub dostało się do niewol podczas pogoni. Armaty i namioty nieprzyjacielskie wpadły także w ręce polskiego wodza, który aż do granicy pędził pobitych.

Sobieski zdobywszy plac boju obchodził na nim tryumf pokonania nieprzyjaciela, a żołnierze jego ubóstwiali go za to, że ich poprowadził do tak świetnego zwycięstwa.

Rozdział XVIII.

Podziemne przejście.

Gdy Sassa usłyszała, że ludzie zamknąwszy wieżę oddalają się, przejął ją nagle przestrach nieopisany.

Stała przez chwilę jak sparaliżowana.

Była odciętą od całego świata. Była zatraconą w wieży. Gdyby zapomniano o niej, byłaby zmuszoną zginąć tu nędznie z głodu i pragnienia.

W chwilę potem jednakże pocieszyła się myślą o Czerwonym Sarafanie. Wiedział on przecież o jej pobycie w wieży, a ponieważ rozmawiała z nim tego dnia, nabrała zatem o nim innego pojęcia. Powzięła do niego zaufanie. Przestał on być dla niej przerażającym. Czynił na niej wrażenie człowieka nieszczęśliwego, skazanego na prowadzenie smutnego życia, tak jak ona.

I myśl o nim dodawała jej ochoty. Mówiła sobie, że on przyjdzie, ażeby ją ocalić!

Powróciła ponownie do żelaznej furtki, która się znajdowała od zewnętrznej strony wieży i usiadła tam wypiwszy resztę wody, którą jej przyniósł Czerwony Sarafan, ażeby ugasić pragnienie.

Godziny upływały jedna za drugą.

Od strony miasta doszedł do niej głuchy szmer... głosy dochodziły do niej.

Nadszedł wieczór, Kozacy wydali okrzyki przy stosie.

Następnie uciszyło się. Sassa zasnęła.

Kozacy opuszczali miasto i okolicę.

Sassa przerażona zerwała się.

Czuła, że o niej zapomniano, że będzie musiała zginąć w wieży. Głód zaczynał ją już dręczyć bardzo dotkliwie.

A nie było żadnego wyjścia z tego strasznego miejsca.

Straszna cisza otaczała samotnicę, która jakby żywcem pogrzebiona w ciemnych wnętrzach spalonej wieży, była wystawioną na zgubę!

W tej chwili jednak Sassa natrafiła ręką na małe żelazne kółko, znajdujące się w jednej z płyt podłogi.

Natychmiast nasunęło jej się na myśl pytanie, jaki cel mogło mieć to kółko. Ujęła je i próbowała podnieść płytę kamienną.

Nie było to tak łatwem, bo płyta była ciężka.

Nakoniec po długich usiłowaniach, udało jej się podnieść ją o tyle, że mogła ją wyciągnąć na przyległe płyty i przekonała się, że ma przed sobą mały czworograniasty otwór.

Pochyliła się i zapuściła w ten otwór rękę.

Uczuła, że w tym otworze znajduje się drabina.

Być może, że pod wieżą znajdowała się jakaś piwnica lub korytarz, którym zdołałaby wydostać się na wolność.

Myśl ta wlała w nią nową nadzieję i dodała jej nowych sił.

— Zejdę na dół, — mówiła do siebie, — ocalę się! ucieknę z tego strasznego więzienia! Muszę uciec. Muszę uciec!

I przejęta śmiertelną trwogą, ponieważ czuła, że zginie, jeżeli szybko nie znajdzie jakiego wyjścia, postanowiła zejść po schodach w wilgotną głębię prowadzącej drabiny.

Wkrótce drobne jej nóżki dostały się na twardy grunt.

Odszedłszy od drabiny, zaczęła swoim zwyczajem macać około siebie.

Czuła dokoła ściany sklepienia u góry, po jednej stronie nie było ściany. Poszła w tę stronę powoli dalej, macając rękami wzdłuż dwóch ścian, które otaczały wąski, sklepiony, podziemny korytarz.

Przejście podziemne zdawało się być długiem. Sassa stanęła i wsparła się o ścianę.

Czy miała wracać?... A może Czerwony Sarafan przyjdzie do wieży i nie zastanie jej!...

Nie!... skoro zaszła tak daleko, powinna była użyć ostatnich sił, ażeby dostać się do wyjścia, bo przecież jakieś wyjście być musiało.

Nagle uderzyła nogą o kamień... wyciągnęła ręce...

Krzyk przerażenia rozległ się w podziemiu...

Przyszła do końca lochu, ale wyjście z niego było zasypane kamieniami i ziemią! Nie było wyjścia! Była zagrzebaną. Nie była w stanie przenieść tego zawodu.

Załamała ręce rozpacznie!

— Na pomoc!... litości! — wołała słabym, zamierającym głosem, — wybaw mnie, ocal Sarafanie!... Umieram! powietrza!... precz stąd!... Mój ukochany panie!...

Wymawiając te wyrazy, padła bez zmysłów.

Przedmiotem jej ostatniej myśli był Jan Sobieski.

Rozdział XIX.

Zasypany.

Ciężko przez wojnę dotknięte miasto Żwaniec, odetchnęło po zwycięstwie Sobieskiego.

Mieszkańcy przedewszystkiem podziękowali modlitwą Bogu, że ich od tej strasznej klęski uwolnił.

Gdy następnie z pomocą Sobieskiego żołnierzy, grzebiono zmarłych, mieszkańcy zabrali się do przywrócenia porządku. Oczyszczano domy i ulice, usuwano zwaliska po budynkach zgorzałych od kul ognistych.

Straż miejska chciała właśnie zamknąć bramę i podnieść most zwodzony, gdy ukazała się znana im prawie wszystkim z wieści i przydomku postać Czerwonego Sarafana, i chociaż straż szybko chciała przez podniesienie mostu przeszkodzić jego przejściu, rzucił się na płaszczyznę mostu w ostatniej chwili,

uchwycił się silnie łańcucha i tym sposobem został także podniesiony do góry, gdy jednak ujrzał się na drugiej stronie mostu, spuścił się szybko po łańcuchu i skoczył pomiędzy przestraszonych strażników, jak gdyby wykonywał jakiś dziki taniec.

Pospólstwo z dzikim krzykiem uciekało przed nim.

— Precz stąd! Jesteś Czerwonem widmem wojny — wołali mężczyźni — czego tu chcesz Czerwony Sarafanie? Czyż jeszcze nie dość krwi popłynęło?

Tłum okazywał coraz większe rozdrażnienie i groził Czerwonemu Sarafanowi, który zwrócił się do pobliskiej, na pół rozwalonej wieży, około której pracowało wielu ludzi nad uprzątnięciem rumowiska dla odbudowania spalonej części.

Gdy robotnicy na górze ujrzeli, że Czerwony Sarafan wszedł do wieży, a tłum podnosząc rozmaite narzędzia i nacierając na szczególnego człowieka, który jak to było jego zwyczajem, zrobił kilka szczególnych podskoków i cofnął się w półcień, który panował w głębi korytarza.

Nagle zobaczył tuż przy sobie otwór, przy którym płyta kamienna leżała jeszcze tak, jak ją położyła Sassa, a ponieważ w korytarzu, którego wyjście od strony fos fortecznych było zamknięte, byłby się dostał bez ratunku w ręce swoich towarzyszów, zrobił więc szybko zręczny skok w głąb, a zeskoczywszy odjął drabinę, która od otworu prowadziła na dół.

Mężczyźni i kobiety cofnęli się.

Znajdujący się bliżej zaledwie nie powpadali do otworu.

— Przynieść pochodni! — krzyczeli robotnicy, — zeskoczył do piwnic!

Kilku robotników przyniosło pochodnie.

— Drabiny! — wołali stojący nad otworem, — drabiny tutaj!

Czerwony Sarafan ściągnął drabinę na dół! Czy słyszycie jak tam w głębi śmieje się z nas i szydzi? Słyszycie?

— Niech sobie szydzi! — rzekł inny, — niedługo będzie szydził!

Kilku ludzi przyniosło nareszcie drabinę. Przy czerwonawym blasku palących się pochodni spuszczono w głąb drabinę, i szło już tylko o to, kto pierwszy spuści się do podziemia, gdyż dwóch jednocześnie schodzić nie mogło.

Jeden herkulesowej postaci robotnik, trzymający w lewej ręce pochodnię, a w prawej ręce uzbrojony kosturem, zdecydował się być pierwszym.

— Chodźcie za mną! — zawołał — śmierć i zagłada Czerwonemu Sarafanowi.

Zeszedł. Mężczyźni tłoczyli się za nim. Niektórzy wzięli pochodnie, inni drągi żelazne i pałki. Nawet niektóre kobiety tak się rozfanatyzowały, że poszły za mężczyznami do podziemia.

Czerwony Sarafan cofał się przed postaciami oświetlonemi przez pochodnie. Widział dokładnie wszystkich swych prześladowców.

Postępowali oni coraz dalej.

Nagle jeden z idących naprzód robotników, ów człowiek herkulesowej postaci, trzymający w lewej ręce pochodnię, a w drugiej drąg żelazny, ujrzał przed sobą Czerwonego Sarafana, który widocznie doszedł do końca podziemia, gdyż zatrzymał się i stanął.

Z wściekłym krzykiem rzucił się robotnik na niego i zamachnął się z całą siłą żelaznym drągiem.

Zapomniał on jednak w zapale, że u góry nad podziemiem znajdowało się sklepienie i uderzył w nie tak silnie żelaznym drągiem, że rozległ się głuchy huk i w tejże chwili sklepienie zawaliło się.

Cegły i gruzy spadły na robotnika z taką siłą, że został przewrócony i pochodnia, którą trzymał w ręku, zagasła.

Wszyscy obecni cofnęli się z przerażeniem.

Krzyk przestrachu rozległ się w korytarzu.

— Zasypany! Korytarz się wali! Uciekajcie! Czerwony Sarafan zasypany! — wołano.

— I robotnik także zasypany! — zawołał jeden z odważniejszych, który jeszcze nie uległ wpływowi ogólnego przestrachu, — trzeba mu pomóc! Do mnie! Trzeba go wydobyć z pod gruzów!

Po wielu wysileniach udało się im wydobyć towarzysza. Był on jednak już martwy, nie oddychał. Przypłacił życiem swą natarczywość.

Gdy robotnicy wynieśli jego zwłoki z podziemia, kobiety załamały ręce i oskarżały Czerwonego Sarafana, jako sprawcę jego śmierci.

Nikt jednak nie miał odwagi wracać do podziemia.

— Czerwony Sarafan zasypany! — mówiono, — Czerwony Sarafan musi zginąć, bo jest pogrzebiony żywcem. (C. d. n.)



Przyjaciel płanetników.

W pewnej wsi żył leciwy dzwonnik. Ile razy letnia burza nadciągała, zawsze podążał za wieś na wzgórek, by tam w starej, z drzewa zbudowanej dzwonnicy, dzwonić poświęconym dzwonkiem, w celu rozpędzenia chmur. Siadał wtedy na naprόchniałej już ławce, brał sznur w zmarszczoną garść i dzwonił, a echo miłego głosu dzwonu rozpływało się hen ponad sioło, góry i dalekie lasy, napawając wieśniaków radosną nadzieją rozpierzchnięcia się chmur. Ile to razy staruszek zostawiał na zagonach pokłosy zboża, nie grabiąc ich, a sam pospieszał co tchu, by dzwonić przed nadciągającą burzą. Ile on nocy nie przespał. Gdy tylko ujrzał na widnokręgu oślepiającą błyskawicę i czarne zwały chmur, już biegł na swój posterunek i dzwonił, gdyż dzwonić należy zaczynać dłuższy czas przed nadejściem burzy. Za swoją pracę i punktualność wieś płaciła mu w zimie zbożem, słomą i sianem.

Przy swem zajęciu stał się on jakimś mistykiem, marzycielem i filozofem. Podziwiał potęgę żywiołu, gdy rozszalały huragan przyciągał burzę, rozpalającą piorunami atmosferę. Wnikał skwapliwie w przyczynę orgji natury i drżał przed nią. Modlił się wtedy gorąco. Śród nocy na tle błyskawicy, w towarzystwie gromów nieraz widz zobaczyłby siwego starca mamlącego grubemi wargami pacierze i trzęsące się jego ręce, pociągające sznury, przywiązane u głowy dzwonu. Oczy dzwoniącego starca zawsze w czasie burzy, zwłaszcza w nocy, często wracały się ku chmurom. Wypatrywał w nich płanetników *) i czę-

*) W wielu okolicach lud wiejski wierzy, iż chmury niosą jakieś nadprzyrodzone istoty. Istoty te nazywają płanetnikami. Z postępem nauki wiara w płanetników coraz bardziej zanika. *(Przyp. Red.)*

sto widział, jak okropnie zmęczeni pchali ciężkie chmury; głos święconego dzwonu dodawał im sił, toteż zawsze ponad jego wsią prędko przemknęli, oszczędzając ją od wielkich katastrof. Nieraz on widział, jak niejeden płanetnik leciał z oberwanym odłamem chmury na ziemię. Często oni towarzyszyli mu, gdy on ich braciom ułatwiał pracę. Otrzymywał od nich różne meteorologiczne informacje, oraz różne praktyczne zastosowanie mające pouczenie, i te pouczenia starał się powszechnemi uczynić. Toteż czasem, gdy młodzi pasterze i pasterki, nakryci workami i płachtami, pasąc bydło do niego przed ulewnym deszczem się schronili, dawał im wskazówki, że w czasie burzy najkorzystniej jest spalać na ogniu owsianą mąkę. Ta bowiem najbardziej wzmacnia siły płanetników, podczas gdy święcone zioła i maje św. Jana oraz Zielonych Świąt krzepią siły płanetników, ale nie w wysokim stopniu. Tłumaczył zasłuchanym w jego mowę pasterzom, dlaczego ludzie przed deszczem i w czasie deszczu są słabi i „lecą na spanie". To płanetnicy posiłkują się ich energją, bo w razie gdyby o swoich siłach nie podołali upchać chmur, a tych sił nie wzięli od ludzi, chmuryby w jednem miejscu wypłynęły się i spowodowały wielkie nieszczęście. Nakazywał czcić płanetników i raczyć ich, gdy spadną na ziemię, owsianym plackiem, a nigdy, zakazywał, nie wynosić na deszcz „łopat chlebowych", jak to często ludzie czynią, gdyż łopaty tylko ich drażnią. Młodzież z uszanowaniem słuchała jego wywodów, postanawiając jak najściślej stosować się do jego wskazań.

Takie były skutki potężnej imaginacji starca. Wizje płanetników i jego z nimi rozmowy miały rzeczywiście miejsce. Pierwsze były tylko halucynacje, czyli obrazem na siatkówce ócz, powstałym z wyobraźni, popartej autosugestją, to jest samowmówieniem. Zaś rozmowy jego z nimi tłumaczą się autosugestją słuchu. Jego własne myśli były głosem rzekomych płanetników. W czasie nocnych długich nudnych godzin dzwonienia miewał nieraz dzwonnik, jak na pocieszenie, dobrane towarzystwo, którego zdolności intelektualne nie wychodziły poza kres takich zdolności wizjonera. Jako marzyciel, ogarniał smętnym, zatopionym wzrokiem piękno przyrody. Wpatrywał się w sine, tkwiące na horyzoncie lasy i napawał duszę dziwną rozkoszą. Lubiał także patrzeć na kłęby granatowych chmur, na bezkres nieba. Do swojej dzwonicy tak przywyknął, że często, chociaż była pogoda, do niej się udawał i w niej, jako młodzieniec, zaczął dzwonić. Nigdy jeszcze tak nie było, by przed którą burzą na czas nie dzwonił. Nieraz mimo poważnego zaniemożenia, nie lenił się, ale szedł do swojego obowiązku. Nigdy też nie zaspał, jakby jakąś nieznaną mocą, bywał w razie potrzeby budzony. Opuszczenie choć jeden raz dzwonu uważał za wielkie przestępstwo. Na propozycję daną mu raz przez grupę wieśniaków, by jako już może niezdolny do dzwonienia, odstąpił swoje zajęcie komuś młodszemu, rozpłakał się i łkał jak dziecko. Pobiegł zaraz do dzwonicy, siadł na ławie i żalił się, płacząc, jakby tem głuchem ścianom, samotnemu dzwonowi i wilgotnemu klepisku, że go chcą rozdzielić z niemi. Często, idąc gdzieś, pozierał smętnem okiem na dzwonicę, stojącą samotnie wśród pól, obok małego przylasku sosen i kępy jałowców. Niski, drewniany krzyż, umieszczony na jej szczycie, zdawał się go ramionami zapraszać. Coś go tak do niej ciągnęło, coś jakby żywe a niewidzialne, jakiś urok, poezje, a wszystko to tchnęło legendarnym powabem. Różnie on sobie tłumaczył ten pociąg do martwej rzeczy, a nie mógł rozwiązać tej sprawy. Nie wiedział, że on pochodzi z natury jego charakteru, z jego duszy. Jako człowiek o niemałej uczciwości, unikał mimowoli wrzawy ludzkiej i miejsca, gdzie rodzą się grzechy. Miejsce, do którego tak ustawicznie tęsknił, było przepojone jakby pięknem jego szlachetnych myśli i spokojną uroczą duszą. Tutaj jego filozoficzny, chociaż przesadny umysł czytywał prawdę w naturze. Rozognionym duchem wwiercał się w nią, by gdzieś na samem jej dnie ujrzeć ukochane piękno, jakąś mądrość i coś przemiłego a żywego, jednem słowem żywe prawo. Gdy się myślą wdawał w kres materji jako pojęcie, widział ten kres jakby w swej duszy. Te i tem podobne myśli sprawiły to, że tak tęsknił do dzwonicy; tam znajdywał ukojenie. To było też przyczyną, że gorąco pragnął umrzeć kiedyś w tej małej drewnianej klacie. Śmierć w tem miejscu wydawała mu się być świętą. Stąd jakby prowadził prosty pomost do nieba. Chciał, żeby jego kości spoczęły gdzieś w pobliżu. Pierwsze jego życzenie nie spełniło się.

Było to z początkiem sierpnia. Dzwonnik po całodziennej pracy był wieczorem znużony i chory. Już dość późno wieczór przed udaniem się na spoczynek rozglądnął się po księżycowym blaskiem poświeconym horyzoncie. Mógł spokojnie udać się spać, gdyż na szafirowym niebie nie było ani jednej chmurki. Spał twardo, ciesząc się w śnie nadwyraz przyjemnemi marzeniami. Ale nie długo cieszył się senną błogością, bo został, może poraz pierwszy za swego ważnego zajęcia tak nie rychło, salwą gromów tuż nad nim zbudzony. Zerwał się czemprędzej z łóżka, ubrał jeno bluzę i jaknajprędzej pobiegł dzwonić. Przeraźliwe błyskawice zaślepiały mu wzrok, straszliwy hurkot grzmotów ogłuszał go, a on zdyszany, wnet do utraty tchu, upadając na twardą drogę, podążał. Od północy szła wielka ulewa, słychać było nieprzyjemny szum, widocznie grad padał. To mu dodało większego bodźca w biegu. Na myśl, że późne przybycie do dzwonicy może spowodować pozbawienie go dotychczasowej czynności, przemienił się w największe wytężenie i przy niem dotarł do celu. Ale ledwie usiadł na ławie i chciał prawą ręką ułapić sznur, osłabł. Rękoma nie mógł władać: ścierpły mu obie. Głowa zaciężyła kilkukilowym ciężarem. Ciało zdawało mu się być obcą materją, nieżywem, nogi pozbawione władzy drętwiały. Uląkł się, czuł zimną śmierć. Cała jego przeszłość stanęła przed nim w wyraźnej barwie. Wszystkie przeżyte momenty jego życia uplastyczniły się w umyśle. Ostatkiem siły ręce splótł na piersiach. Myśl wibrowała w sferze strasznego lęku śmierci, lecz niedługo nastąpiła rezygnacja, a po niej w jego jaźni zaczęła się odsłaniać, jakby smuga zdrowego życia, nowego, a przecież tego samego, którem żył i czuł. Harmonja niewysłowionego piękna i rozkosz ukazały swoje oblicze, napawając go wielką radością i odrazą do życia na ziemi, którą wnet na zawsze opuścił.

Na drugi dzień wieśniacy zastali w dzwonicy zimne ciało dzwonnika, który do ostatniej chwili życia spełniał należycie swe obowiązki i niestrudzenie zwalczał przeszkody, by jak karny żołnierz stanąć na posterunku swego zawodu. On odszedł w bezpowrotną drogę, a dzwonica samotna stoi na wzgórku za wsią i zda się tęsknić, po jej bywalcu, a sploty zielonego mchu, jakby nie wierzyły w zdarzoną smutną prawdę, nachylają się z lękiem z dachu dzwonicy do jej wnętrza. *Jan Kołat.*



Poradnik gospodarczy.

Do zwierząt uważanych dotąd za szkodliwe należy w pierwszej linji kret, którego czynność można często obserwować w lesie i na polu, na łąkach i w ogrodzie.

Wszyscy prześladują go i tępią, a przecież kret jest przyjacielem rolników i ogrodników. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że kret nie wyrządza szkody owocom polnym gryzieniem i ogryzaniem korzonków, żywi on się bowiem wyłącznie owadami i robakami.

Trzy razy na dzień wychodzi kret na polowanie na owady, które już zdaleka czuje w ziemi zapomocą swego śpiczastego ryjka. Jest on ogromnie łakomy i zjada dziennie więcej, aniżeli wynosi ciężkość jego ciała.

Dokładne obliczenia wykazały, że kret zjada w przeciągu roku mniejwięcej 30.000 pędraków i 18.000 glist. Każdy więc musi uznać, jak użytecznym jest on dla rolnika. I za to odpłacają mu wszyscy najczarniejszą niewdzięcznością!

Najwięcej gniewa się rolnik, gdy piękną równą łąkę lub pastwisko oszpeca kret wyrzuconą ziemią. Jest to w przekonaniu rolnika zbrodnia zasługująca na karę śmierci, ale tem właśnie wyrzuceniem ziemi zobowiązuje go kret do nowej wdzięczności. Wydobywa on z ziemi najlepszy materjał, zupełnie już luźny i podrobiony, który okrywa odsłonięte przez deszcz i mróz korzonki roślin. Ułatwia tym sposobem pracę rolnikowi, który już tylko łopatą rozrzuca tę kupkę ziemi. Rolnicy jednak, którzy nie dość wcześnie rozrzucają kretowiny, mają potem mozolną pracę z urównaniem łąki i pastwiska. Ale to już nie jest winą kreta, tylko rolnika, który nie zrozumiał i nie wyzyskał roboty małego kopacza.

Są naturalnie wypadki, w których praca kreta nietylko, że nie jest pożądaną, ale nadto bardzo szkodliwą, naprzykład na polach lnem obsianych, w ogrodach, mianowicie na klombach kwiatów i wogóle wszędzie tam, gdzie się wartościowe znajdują rośliny. Pobyt kretów w pobliżu tam i grobli nie jest również pożądany i tu trzeba je tępić bezwarunkowo. Podkopują one groble tak, że w przeciągu kilku lat mogą je zupełnie podminować i stać się pośrednią przyczyną powodzi. Dla bezpieczeństwa więc grobli należy tępić krety wszelkiemi możliwemi sposobami, w innych warunkach jednak nie należy ich zabijać przez wzgląd na przysługi, jakie oddawają rolnikom.

Rolnik tylu ma wrogów utrudniających mu pracę w domu i na polu, we dnie i w nocy, że powinien oszczędzać nietylko tych, którzy chcą mu pomagać, ale mianowicie tych, którzy mu rzeczywiście pomagają. Oszczędzanie kreta powinien też energicznie nakazać tak dzieciom jak i wszystkim domownikom.

Poradnik kucharski.

Zupa rakowa. Pół kopy oczyszczonych raków wrzucić do wrzącej dobrze słonej wody i gotować przez 10 minut licząc od zagotowania się. Do gotowania dodać wiązankę młodego koperku. Poobcinać nóżki i szyjki i ostrożnie powyjmować mięso. Skorupki wyczyścić z wnętrzności i zachować do nadziania farszem. Tłuszcz ze skorupek utłuc w moździerzu z drobnemi skorupkami, które następnie dać na gorące masło. Po półgodzinnem smażeniu zalać smakiem, w którym się raki gotowały, tłuszcz, który na wierzch wypłynie zebrać łyżką i dać do zimnej wody do filiżanki, gdy wszystek zastygnie, smak należy ze skorupek przecedzić przez sito i następnie wlać do rosołu. W końcu podprawić kwaśną śmietaną i podać nadziane skorupki.

Czernina. Czerninę robi się z podróbek i krwi gęsi lub kaczek. Zabijając gęsi lub kaczki należy krew złapać do naczynia kamiennego, w którem znajduje się trochę octu, ażeby się krew nie ścięła, trzeba kłócić mątewką. Oczyszczone podróbka i kawałek dość tłustej wieprzowiny, zalać zimną wodą, gdy się zagotuje wyszumować, następnie zadrobić różną włoszczyzną, dać parę śliwek świeżych lub suszonych, obrać 2 lub 3 jabłka, osolić i gotować pod pokrywką 2 godziny. Dróbka, wieprzowinę, jabłka i śliwki wyjąć, dać do wazy. Krew przed użyciem należycie rozkłócić z chochelką zimnej wody, przecedzić przez sito i wlać na rosół, następnie zaprawić kwaterką śmietany ubitej z łyżeczką mąki i wlać do zupy, dać do smaku octu i cukru, oraz zasypać łazankami.

Zupa grochowa. Kawałek wędzonki ugotować, osobno rozgotować pół litry grochu, przetrzeć przez sito rozpuszczając smakiem z wędzonki. Zupę zaprawić zasmażką zrobioną ze słoninki i mąki i wlać do wazy, na wierzch można dać trochę zielonej, siekanej pietruszki lub koperku gdzie się znajduje wędzonka w kawałki pokrojona. Do zupy podać tarte ciasto lub grzanki.

Hymn do pracy.

Uwielbiam ciebie o porannej zorzy
Praco, co życia jesteś karmicielką!
Bo pod twem tchnieniem cud ziemi się tworzy —
Tyś jak Moc — silną i jak życie — wielką...

Uwielbiam ciebie i o wschodzie słońca —
Gdy Moc się Boża wszechświatom rozlewa...
Twa dal, twa droga — bez kresu — bez końca
Pełnią owoców od wieków dojrzewa!

Uwielbiam ciebie o spiekocie dziennej,
Gdy z czoła twego pot spływa rzęsisty;
Gdy zwalczasz góry, przestrzeń, wir bezdenny
Mórz — skarbiąc życia djadem swój wieczysty...

Uwielbiam ciebie o gasnącej zorzy,
Gdy o cegiełkę szlakiem dziennej drogi
Gmach twój zolbrzymiał — przed którym się korzy
Świat w swoim biegu — jak pielgrzym ubogi...

Uwielbiam ciebie; a ty żyj w krwi mojej,
Jak nieodstępna towarzyszka życia!
Ja swoją drogę pragnę przejść w twej zbroi:
Ty krzep mą duszę — serca mego bicia.

Wojciech Byczek.

KRONIKA.

Zagrożona ogrodowizna. W ciągu ostatnich 2 miesięcy bezdeszczowych, jak i nagły spadek temperatury z początkiem czerwca br., spowodowały zahamowanie rozwoju ziemniaków, kapusty i wogóle warzyw. Ilościowo zbiory roślin okopowych i warzyw będą mniej więcej w najlepszym razie o jedną trzecią mniejsze od zeszłorocznych, szczególniej ucierpiała z braku wilgoci i od szkodników zwierzęcych kapusta, której zbiór tegoroczny będzie bardzo słaby. Możliwem jest jednak, że jeżeli w ciągu miesiąca września byłyby opady deszczowe, a ciepło dopisało, może nastąpić poprawa ziemniaków u gatunków późno dojrzewających. Na zbiory wczesnych ziemniaków, kapusty i warzyw, których okres wegetacyjny obecnie się kończy, opady deszczowe, jakieby mogły być we wrześniu, na zwyżkę plonów nie wpłyną. O ile więc tegoroczna susza sprzyjała w powiecie krakowskim produkcji zbożowej, o tyle odbiła się ujemnie na produkcji jarzyn i częściowo okopowych, co jest powodem stosunkowo wyższych nieco cen za te produkty, aniżeli w latach ubiegłych, gdzie wilgoci raczej mieliśmy za wiele.

Cła przywozowe i wywozowe na zboże. Komitet ekonomiczny rady ministrów rozpatruje obecnie doniosłą sprawę cła przywozowego i wywozowego na zboże. Narazie powzięta ma być w tej sprawie decyzja prowizoryczna, która będzie obowiązywała do końca września. Do tego czasu rząd będzie już posiadał dokładne dane co do realnych wyników urodzajów i na tem oprze uchwałę o cłach na zboże na okres aż do lipca roku przyszłego. Polityka taryfowa w stosunku do zboża uwzględni przedewszystkiem konieczność zabezpieczenia dostatecznych zapasów zboża i mąki dla rynku wewnętrznego.

Skutki pioruna. We wsi Niegoszowice koło Rudawy pod Krakowem wpadł piorun przez otwór w kominie do chaty Andrzeja Prusaka. Andrzej Prusak, ślusarz, lat 27, padł trupem na miejscu, siostra jego odniosła dotkliwe poparzenia lewego boku, druga siostra straciła mowę, a brat Stanisław doznał częściowego paraliżu nóg. Ofiary przewieziono do Krakowa.

Osobiste porachunki. Onegdaj wybuchł groźny pożar wewnątrz stodoły naczelnika gminy, Teodora Gwiazdaka, w Zapałowie. Ogień przerzucił się następnie na sąsiednie zabudowania Iwana Onatka i Wasyla Dorbana. Pastwą płomieni padły trzy stodoły i dwie komory wraz z zapasem zboża i narzędziami rolniczemi, powodując szkodę w wysokości 13.530 zł. Zachodzi podejrzenie, że pożar powstał skutkiem podpalenia narożnika stodoły przez jednego z wrogów naczelnika gminy. — Dochodzenia prowadzi Powiatowa Komenda Policji państw.

Straszny wypadek nieostrożności. Tragiczny wypadek mimowolnego dzieciobójstwa zdarzył się tymi dniami w Wąwolnie. Miejscowy gospodarz Kiliński, stojąc na szczycie stogu zrzucił widły, które wbiły się w głowę bawiącego się pod stogiem 2-letniego dziecka. Dziecko poniosło śmierć na miejscu. Rozpacz ojca nie ma granic.

Masowy obłęd. We wsi Dzikie Garby w Małopolsce wschodniej wydarzył się ostatnio straszny wypadek. We wsi tej cała rodzina włościańska Stanisława Sterna, złożona z 6 osób, dostała obłędu. Onegdaj nad ranem mieszkańców wioski obudziły straszne wrzaski i wycia, dochodzące z chaty Sternów. Kilku włościan pospieszyło coprędzej z pomocą, myśląc, iż to bandyci napadli na obejście gospodarza. Tym, którzy pierwsi dopadli do okien, przedstawił się straszny widok. W izbie oświetlonej krwawemi błyskami ognia, rozpalonego na kominie, cała rodzina Sternów rozebrana do naga, tańczyła jakiś potworny taniec. Każda z tańczących osób trzymała w ręku sękaty kij, którem bito się wzajemnie bez litości. — Przy tem strasznem biczowaniu wszyscy krzyczeli: „wyjdź djable z mego ciała!“ Gdy Sternowie przez dłuższy czas nie przestawali bić się wzajemnie i z ciał już obficie płynęła krew, mężczyźni stojący w przerażeniu za oknem, zdecydowali się wejść do środka i przerwać straszne widowisko. Z trudem udało się wszystkich obezwładnić i związać. Władze lwowskie, zawiadomione o tym strasznym wypadku, delegowały natychmiast do Dzikich Garbów komisję sądowo-śledczą. Lekarze psychjatrzy stwierdzili u całej rodziny obłęd. Szaleńców, którzy nie przestawali stawiać oporu, przewieziono do Lwowa.

Psy powodem zabójstwa. Ponury dramat rozegrał się na folwarku pod Garwolinem. Prezes miejscowego kółka rolniczego p. Leon Zając, zamieszkały wraz z żoną i 9-letnim synkiem Mieczysławem we własnym folwarku pod Garwolinem, wynajął prawo polowania na swoich gruntach p. Lilpopowi z Warszawy. P. Lilpop, zapalony myśliwy, umieścił na folwarku swego strzelca Stanisława Dziedzica, który zamieszkał tam z żoną i z dwojgiem dzieci. Dziedzic trzymał na podwórzu 3 psy, bardzo złe i napadające na ludzi. Psy te nie były wiązane i biegały swobodnie po podwórzu. Dwukrotnie już psy napadały na małego Miecia, gryząc go dotkliwie.



P. Zając kilkakrotnie żądał od Dziedzica, aby ten wiązał psy. Dziedzic jednak nie stosował się do żądań właściciela folwarku. Wreszcie, gdy po raz trzeci psy napadły na małego Miecia, p. Zając zwrócił się z wymówkami do strzelca, żądając kategorycznie uwiązania psów. Dziedzic wyśmiał p. Zająca, a podrażniony powtórzeniem przez niego żądania, zawołał do żony:

— Podaj mi dubeltówkę, ja nauczę tego chłystka.

Dziedzicowa, przypuszczając, że mąż jej chce nastraszyć tylko właściciela folwarku, podała mu dubeltówkę. Ale zacietrzewiony Dziedzic stracił już panowanie nad sobą. Porwawszy podaną mu przez żonę strzelbę, złożył się w stronę Zająca i... pociągnął za cyngiel. Huknął strzał... Pełny nabój śrutu utkwił w głowie właściciela folwarku. Ranny, zalany krwią, padł na ziemię. Mimo natychmiastowego ratunku, wkrótce życie zakończył. Zabójcę aresztowano.

Zamach na hr. Przeździeckiego. W ubiegłą sobotę po południu w majątku Nogawki, pod Łodzią, dokonano tajemniczego zamachu na osobę właściciela tegoż majątku, Tadeusza hr. Przeździeckiego. W czasie, gdy ten samotnie odbywał spacer, nieznany bliżej osobnik, wypadłszy z krzaków, oddał w stronę hrabiego kilka strzałów rewolwerowych, sam zaś umknął. Hra-

bia, raniony ciężko, padł na ziemię. Mimo silnego upływu krwi, przez długi czas zachował przytomność, czołgając się zwolna ku pałacowi. Po dłuższym natomiast czasie przytomność stracił. W ostatniej chwili na szczęście natknęli się na niego przechodnie, którzy wysłali pomoc lekarską. Po przewiezieniu ciężko rannego hrabiego do szpitala, dokonano na nim operacji, która się szczęśliwie udała. Stan chorego nie budzi już większych obaw. Według dotychczasowych wyników śledztwa — wdrożonego niezwłocznie przez policję — zamachu dokonano na tle osobistej zemsty. Podejrzanego o tę zbrodnię fornala aresztowano. W całej okolicy wiadomość o tym zamachu wywarła silne wrażenie, budząc żywe współczucie dla hrabiego, który zawsze znany był z wielkiej uczynności i łagodnego obchodzenia się z ludźmi.

Czteroletni podpalacz. Czteroletni syn Stefana Sydora, w Podhorcach powiat Żydaczów, bawił się zapałkami w stodole i spowodował pożar, którego pastwą padła stodoła wraz z znajdującemi się tam zbiorami. Ogólna szkoda wynosi około 800 zł.

Zbrodnia cyganów. Pewnego południa do dworu Gadomiec Wyraki w Mławskiem zaszła cyganka Paćkowska „powróżyć". Pani Zofja Borowa, małżonka właściciela folwarku p. Tomasza, miała nieostrożność wdania się w gawędę z hultajką, słuchała jej bredni, a nawet popełniła naiwność zupełnie fantastyczną: W pewnej chwili „wróżenia" cyganicha powiedziała:

— Jeszcze jedno paniusieńce powie cyganka, ale dopiero to zobaczy, gdy paniusieńka stanie przy wszystkich pieniądzach, jakie są w domu, rozłożonych na stole.

Pani Zofja nie miała nic lepszego do roboty, jak przynieść istotnie wszystkie pieniądze, 80.000 złotych, przygotowanych do wpłaty bankowej. — Całą tę furę banknotów rzuciła na stół, patrząc w zbrodnicze ślepie cyganki, czy już zadowolone, czy „widzą" przeznaczenie. No i zgotowała sobie biedna pani Zofja los tą naiwnością: w dwa dni później trzej cyganie — krewni i powinowaci Paćkowskiej, napadli na dwór pp. Borowych. Oboje właściciele, ich kuzyn p. Ludwik Krajewski, pani Lidja Serafina Rymrzykowa — siedzieli przy kolacji, gdy drzwi się rozwarły i stanął w nich Władysław Paćkowski z rewolwerem w dłoni.

— Pieniądze, bo strzelam! — daj 80.000 złotych.

— Nie mamy! w banku! wczoraj wpłaciliśmy do banku! — zapewniał p. Borowy.

Lecz dziki potwór nie wierzył.

— Dać 80.000 złotych, bo wszystkich wystrzelam. Ja kat!

I istotnie posypały się kule na nieszczęsnych ludzi. Drab wpadł w szał morderczy: strzelał do bezbronnych, jak w kupę piachu. Padł trupem p. Borowy, obok wił się w konwulsjach przedśmiertnych p. Krajewski, konała p. Rymrzykowa, ranna ciężko zwaliła się na ziemię pani Zofja Borowa... Nadbiegli parobcy — i oni dostali parę kul. Na rozprawie sądu okręgowego w Mławie te krwawe bydlęta w ludzkich skórach nie przyznały się do winy. Świadkowie napadu stwierdzili tożsamość ich plugawych osób, lecz oni upierają się przy zeznaniu, że to jakiś inny cygan strzelał. Oni tylko trzymali straż. Władysław Paćkowski płacząc, błagał sąd:

— Nie chcę umierać, dajcie mi żyć! Chcecie, to pójdę i będę katem dla wszystkich tych, co ze mną grabili. Powystrzelam ich. Tylko darujcie mi, bo ja chcę żyć! Wszystkiego narobił ten Milewski, który był ze mną u Fawrelów! on mi dał rewolwer...

Tego Milewskiego już powieszono. Jego kamrat Władysław Paćkowski nie chce iść za nim na stryczek. Ponieważ sąd w Mławie skazał wszystkich trzech na szubienicę, więc apelują. Na nic to jednak prawdopodobnie się nie przyda i mordercy zawisną na szubienicy.

Umysłowo chora podpalaczem. Niezwykły wypadek wydarzył się we wsi Tykadłów gminy Borów pod Kaliszem. Z niewyjaśnionej narazie przyczyny zapaliło się dwumorgowe pole pszenicy, stanowiące własność gospodarza Józefa Durojetka. Z niemałym trudem zdołano pożar zlokalizować i odwrócić niebezpieczeństwo od łanów sąsiednich. Dwa morgi pszenicy spłonęły doszczętnie. Jak ustalono, pożar powstał wskutek podpalenia, dokonanego przez zamieszkałą w tejże wsi umysłowo chorą 65 letnią Marjannę Łazną. Obłąkaną zatrzymano i odstawiono do szpitala dla umysłowo chorych w Warcie.

Bandytyzm w okolicach Gniezna. W okolicach Gniezna operuje obecnie jakaś wielka zgraja bandytów, którzy dokonują napadów na przejeżdżających kupców, kradną konie, oraz włamują się do komór i stajen gospodarzy wiejskich, zabierając stamtąd żywność i pieniądze. Tak np. w jednym tylko tygodniu, przypuszczalnie członkowie tej bandy, dokonali następujących przestępstw: 5 bandytów napadło na kupców M. Domagalskiego i J. Merera, rabując gotówkę i kalecząc ich ciężko; w Gorozdowie J. Żychlińskiemu skradziono 2 źrebaki; M. Czekali w Ostrowie uprowadzono 3 konie; włamano się do kilkunastu domów, zabierając świnie, zboże, ubranie, pościel i t. p. rzeczy. Pozatem zaś również w kilkunastu wypadkach stwierdzono mniejszą lub większą ilość skradzionych pieniędzy. Również zachodzi podejrzenie, że liczne pożary wywołano sztucznie, aby dostarczyć łupu w czasie ratowania. Policja czyni wysiłki celem ujęcia bandytów, dotychczas jednak nie udało się wpaść na trop hersztów bandy.

Po 13 latach. Podczas ewakuacji ludności cywilnej w roku 1915 z Małopolski na Wołyń zaginęła w Łucku dziewczynka, licząca około 6 lat, która wiedziała jedynie, że nazywa się Helena, że ojciec jej nazywał się Jurko i mieszkał w jakimś Kuninie. Dziewczynkę przygarnął do swej zagrody Piotr Mielniczuk, gospodarz we wsi Ozercach, i tam też wzrastała dziewczynka przez szereg lat. W ostatnich miesiącach Helena, licząca dzisiaj już około 20 lat, postanowiła dotrzeć do rodziców swych i w tym celu zwróciła się do miejscowego posterunku policyjnego. Policja zajęła się tą sprawą i właśnie onegdaj zdołała odszukać rodziców Heleny, którymi są Jurko i Ahafja Ferech, zamieszkali stale w Chutrej ad Kunin w pow. żółkiewskim. Jurko Ferech zeznał, że w czasie ewakuacji — gdy przebywał w Łucku — zaginęła córeczka jego, Helena, za którą daremnie czynił poszukiwania. Obecnie po długoletniej rozłące powraca Helena pod strzechę swych właściwych rodziców.

Straszny czyn obłąkanego. Na pograniczu polsko-sowieckiem w pobliżu Wieżajn koło wsi Beranice podczas koszenia łąki dostał nagłego obłędu jeden z miejscowych chłopów niejaki Stefan Krzewicki. W obłąkańczym szale Krzewicki rzucił się na koszących obok współtowarzyszy, raniąc dotkliwie kosą trzech chłopów. Po dokonaniu szaleńczego czynu, Krzewicki zbiegł do okolicznego lasu. Zarządzo za nim natychmiastową obławę.

Zemsta bociana. Ciekawe zdarzenie opisują gazety rosyjskie. We wsi Miużyn na chacie włościanina Kornieja uwiły sobie gniazdo bociany. Korniej nie lubił tych ptaków, ujrzawszy więc gniazdo bocianów, postanowił bociana wypędzić. Wszedł na dach, spłoszył ptaka, który siedział na jajach, wyrzucił je z gniazda, po-

czem gniazdo zrujnował. Dokonawszy tego, chłopek uspokoił się nieco. Po dwóch dniach Korniej, zjadłszy obiad, położył się w pobliżu chaty na murawie. Pomimo upału spał twardo. Nagle zbudził go jakiś syk. — Spojrzał i w mgnieniu oka zerwał się na nogi. W pobliżu miejsca, na którem leżał, znajdował się wąż wyprężony, gotowy do rzucenia się na niego. Korniej pochwycił kapotę, którą miał pod głową i rzucił na węża, poczem zabił go kamieniem. Zaledwie to uczynił, wszedł do izby, gdy usłyszał dźwięk stłuczonej szyby w oknie. Obejrzał się; w oknie zobaczył głowę bociana, który w długim swym dzióbie trzymał wijącego się gada. — Bocian wypuścił węża, który dokonawszy kilku skrętów, wyprężył się, podnosząc łeb do góry. Przerażony włościanin krzyknął i wybiegł z izby na pole.



Przez cały tydzień Korniej spał w innej izbie, nawet nie zaglądając do tej, w której bocian wybił szybę. Wreszcie zdecydował się zajrzeć tam i odskoczył z przestrachu. W izbie kotłowało się od wężów! Chłop zawiadomił sąsiadów, którzy, przyodziawszy długie kapoty i skórzane owczarskie spodnie, uzbroiwszy się nadto w kłonice, rozpoczęli walkę z wężami. — Oczywiście wszystkie pozabijano. Korniej wszakże wpadł w jakiś dziwny strach i odtąd na widok każdego bociana drży cały jak w febrze.

Straszna epidemja w Grecji. Z Aten donoszą, iż tajemnicza epidemja choroby „dengue" z objawami malarji, która od dłuższego czasu w Grecji czyni wielkie spustoszenia, w ostatnich dniach doszła do rozmiarów wprost potwornych. W samych Atenach i Pireusie na ogólną liczbę 440.000 mieszkańców, 300.000 choruje. Niema ani jednej rodziny, którąby choroba ominęła. Oba miasta wyglądają jak olbrzymi szpital. W Kalmata na Peloponezie w ciągu kilku dni zmarło 70 osób — wśród halucynacyj gorączkowych, wybuchów krwi i drgawek epileptycznych. Objawy te przypominają znaną już t. zw. czarną febrę. Rząd grecki, nie mogąc opanować sytuacji, zwrócił się z prośbą o pomoc do Ligi Narodów. Skutki epidemji odbiły się jak najfatalniej na życiu handlowem i przemysłowem, oraz ruchu kolejowym które zostały zdławione. Wiele instytucyj państwowych przestało funkcjonować normalnie. Tak n. p. w jednym z urzędów, w którym pracuje 200 urzędników, pozostaje narazie przy zdrowiu ledwie 20 osób. Straty finansowe spowodowane straszliwą epidemją dochodzą już do pół miljarda drachm.

Cudowny medaljon. O niezwykłem ocaleniu kilkudziesięciu osób — opowiadają obecnie dzienniki francuskie. Niemal cudem uniknął wykolejenia pociąg, kursujący na linji Marsylja—Paryż. Pociąg prowadził starszy maszynista — Karol Dufresne. Umarła mu przed rokiem żona, do której był serdecznie przywiązany. — Młoda kobieta dostała gruźlicę gardła i straszliwa ta choroba zniszczyła ją w ciągu kilku zaledwie miesięcy. Umierając, wręczyła mężowi piękny medaljon, który otrzymała odeń jeszcze jako narzeczona.

— Proszę cię bardzo — rzekła do męża – nie rozstawaj się nigdy z tą pamiątką. Jak długo ją będziesz nosił przy sobie, będę duchem zawsze ci towarzyszyła i chroniła przed wszelkiem niebezpieczeństwem...

Maszynista nie przywiązywał wprawdzie większej wagi do słów żony, nie rozstawał się jednak nigdy z medaljonem. Pewnej nocy prowadził — jak zwykle — pociąg z Marsylji. W odległości kilkunastu kilometrów od tego miasta ujrzał przed sobą na torze coś niezwykłego. Oto jakaś promienista postać z rozpostartemi ramionami zagrodziła pociągowi drogę, a niezwykły, tajemniczy głos, odezwał się:

— Stój!

Maszynista przetarł oczy, ale halucynacja nie ustawała. Zatrzymał pociąg, sam niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Okazało się później, że wskutek nagłego wezbrania rzeki Gragne, część toru kolejowego uległa zniszczeniu. Pociąg zatem wykoleiłby się niechybnie, a kilkadziesiąt osób przypłaciłoby tę katastrofę swojem życiem.

56 lat w więzieniu. Niebywałe wyniki w dziejach sądowo-kryminalnych, wydało przeprowadzone śledztwo przez „Ligę praw człowieka" w więzieniu w Straubing w Bawarji, gdzie znajduje się więzień, odsiadujący karę od roku 1872, to znaczy od 56 lat! Jest nim niejaki Jan Jerzy Oettinger, dziś na poły sparaliżowany starzec, a żyjący w dodatku w warunkach umysłowych, budzących litość. Utracił on bowiem zupełnie pojęcie o zewnętrznym świecie, nie pragnąc już nawet wolności. — Oettingera zasądzono w roku 1872 na 13 lat więzienia za popełnienie ciężkiej kradzieży z włamaniem. Przebywał w więzieniu w Plassenburgu, gdzie odsiedział 13 lat swej kary i miał już wkrótce być zwolniony, gdy w 1885 roku w bójce, powstałej w zakładzie karnym, zadusił jednego ze swych towarzyszy niedoli. Dokonawszy tego zbrodniczego czynu, który już świadczyć może o jego niepoczytalności, nim nadbiegli dozorcy więzienni, Oettinger wyskoczył z okna korytarza na trzeciem piętrze na podwórze więzienne, doznając wstrząsu mózgu. Mordercę, który już za najmłodszych lat swego życia uchodził za nierozwiniętego umysłowo, a któremu skok z III. piętra zamroczył widocznie umysł zupełnie, zasądzono mimo to na karę śmierci, zamienioną w drodze łaski na dożywotnie więzienie. Liczy on obecnie 93 lata, nie rozmawia, nie słyszy i jest prawie ciemny. Losem tragicznego starca zajęto się obecnie, pragnąc choć częściowo osłodzić ostatnie dni życia żywcem pogrzebanego...

Cygara-bomby. Znany w Chicago w Ameryce przemysłowiec Lee otrzymał przed kilku dniami mały pakunek w dniu swych urodzin. Załączony do pakunku list świadczył, że kolega pana Lee — fabrykant Harriman — pamiętając o uroczystym dniu, przesyła mu pudełko wybornych cygar. Po posiłku wieczorem solenizant otworzył pudełko i wyjął cygaro, wyglądające zaiste wspaniale. Lee wziął zapalniczkę i zapalił cygaro. W tej chwili dał się słyszeć huk straszliwej detonacji. To... cygaro eksplodowało. Domownicy przerażeni pospieszyli do salonu, gdzie znaleźli fabrykanta ciężko poranionego. Natychmiast powiadomiono policję o tym niezwykłym wypadku. Przeprowadzone badania wykazały, że we wszystkich przysłanych cygarach znajdował się materjał wybuchowy. Dalsze śledztwo ujawniło, że sprawca zamachu podszył się pod nazwisko fabrykanta Harrimana, który nie miał nic wspólnego z eksplodującemi cygarami Nadawcy morderczego pakunku dotychczas nie wykryto.

RZECZY CIEKAWE.

Miejsce urodzenia Abrahama.

Z biblji wiadomo, że Abraham ze swoją rodziną pociągnął na północ, a potem na zachód od rzeki Phratum w stepy syryjskie. Potem wrócił się na południe biegu rzeki Jordanu, przybył do Egiptu i tam wędrował tu i tam. Pochodził on zaś z okolicy, której imię było Ur. Najnowsze odkrycia archeologiczne wykazały, że miejsce urodzenia Abrahama było już przed 5.500 laty siedzibą wysokiej kultury. Świadczą o tem zabytki, które wystawione obecnie zostały na widok publiczny w londyńskiej British Museum. Widzimy tam mapy tego miasta Ur z jego licznemi ulicami, oraz głównemi zarysami niektórych budynków. Widzimy wielką świątynię księżyca oraz dom taki, jak prawdopodobnie zamieszkiwał Abraham, starannie zrekonstruowany.

Kierownik wyprawy archeologicznej Woolley im głębiej kopał, tem ciekawsze rzeczy wydobywał na jaw, świadczące o prastarej kulturze z sumeryjskiego okresu. Silne wrażenie wywiera wspaniała kolekcja, cylindrycznych pieczęci z łapis lazuli i innych odmian kamieni, na których to pieczęciach widnieją sumeryjskie napisy oraz różnego rodzaju mytologiczne sceny i postacie bardzo subtelnie i z wielkim naturalizmem wykonane. O wielkiem poczuciu artystycznem świadczą również znalezione złote przedmioty, niezmiernie misternie wykonane. Widzimy tam złoty koral w postaci owocu a na nim papugę a wszystko to w miniaturowych rozmiarach a jednak najbardziej precyzyjnie wykonane, w najmniejszym szczególe.

Niezmiernie interesujące są kamienie, na których Abraham i inne dzieci jego epoki uczyły się rachunków. Po jednej stronie widzimy pismo nauczyciela, po drugiej bazgroty ucznia. I to na 2000 lat przed naszą erą. Dzieci grały wówczas też w jakąś grę, przypominającą warcaby, świadczy o tem piękna szachownica o czerwonych, białych i błękitnych polach.

W czasie prac nad odkopaniem miasta Ur, w tym samym grobie sumeryjskim z którego wydobyto kunsztownie wykonany złoty sztylet, wykryto również niepozorne brunatne kawałki, które się okazały żelazem. Stwierdzono zatem, że okres kultury żelaznej nad Eufratem jest o 2000 lat starszym, aniżeli pierwotnie przypuszczano.

To tak wysoce cywilizowane i artystyczne miasto, opuścił Abraham z całą swoją rodziną udając się w dalekie nieznane ciemne puszcze. Patrjarcha musiał widocznie mieć jakieś bardzo ważne powody, które go skłoniły do porzucenia kulturalnego środowiska i walki uciążliwej o nową egzystencję na obczyźnie.

Sny.

Jeden z włoskich profesorów ogłosił przed kilku dniami w najpoważniejszem piśmie włoskiem ciekawy artykuł o szkodliwości snów.

Lekarz ów zaznacza, że każdy człowiek winien w miarę możności unikać snów, gdyż według orzeczeń lekarskich zajęcia senne osłabiają organizm ludzki, męczą umysł i źle wpływają na rozwój woli.

Są ludzie, naprzykład, którzy budzą się zrana z okropnym przestrachem, z uczuciem jakiejś grozy z niesamowitemi przeczuciami, z bólem głowy i osłabieniem całego systemu nerwowego. Śniło im się coś strasznego i piętno snu nie daje już im spokoju przez cały dzień. A inni — zdrowi i weseli zrywają się z łóżka, zabierają się do swej codziennej pracy z tem przeświadczeniem, że sen pokrzepił ich duszę i ciało. Tym nic się nie śniło.

Należałoby się więc zastanowić nad tem, gdzie tkwi właściwe źródło snów? Fizjologowie wraz z lekarzami doszli do wniosku wręcz sensacyjnego, okazało się bowiem, że źródłem snów jest — żołądek. Doświadczenia praktyczne wykazały, że spostrzeżenie to jest zupełnie trafne. Umysł dostarcza tylko odpowiedniego kolorytu do wyobrażeń sennych, istota snu jednak mieści się w żołądku. Z tej też racji sny nazwano „fantazją żołądka".

Osoby, które kładą się spać z pełnym żołądkiem, natychmiast po spożyciu sutej kolacji, mają zazwyczaj najcięższe i najbardziej wyczerpujące sny. Ci natomiast, którzy po kolacji udają się jeszcze na spacer, używają sportu lub zajmują się czemkolwiek, nie udając się odrazu na spoczynek, śpią przez całą noc spokojnie i przez całą noc nie mają żadnych dręczących snów.

Przepis lekarski, dotyczący obowiązkowego spoczynku po kolacji stosuje się szczególnie do osób cierpiących na serce lub obdarzonych nazbyt bujną fantazją. Bardzo często słyszy się naprzykład o tragicznych wypadkach, gdy ktoś umarł nagle w nocy. Zjadł spokojnie kolację, czuł się doskonale, położył się zaraz spać i — umarł. Dla laików jest to zagadka nierozwiązana, dla znawców jednak wszystko jest proste. Winę w tym wypadku ponosi tylko żołądek. Przy pełnym żołądku zwiększa się tempo bicia serca, co wobec chwilowej bezczynności innych części organizmu powoduje nieszczęśliwy wypadek.

Bardzo często zrywamy się nagle ze snu z potem na czole, wyrwani z objęć piekielnego snu i dopiero po przebudzeniu konstantujemy silne bicie serca, które może nie wytrzymałoby naporu krwi, gdybyśmy się w porę nie obudzili.

Oczywiście, że nie zawsze przyczyną snów są sprawy żołądkowe — ale w myśl orzeczeń lekarzy, przyczynę tę spotyka się w 90 proc. wypadków marzeń sennych.

Czasem na fantazje snu wpływa niewygodne łóżko, zapachy w pokoju, zmartwienia i troski codzienne, ostatnie wrażenia przedsenne i t. d.

Również niemałą rolę odgrywa w tych wypadkach pozycja śpiącego. Nie należy nigdy spać na lewym boku, a więc po stronie serca, gdyż pozycja ta wpływa na nienormalne bicie serca, które podczas snu wymaga specjalnej opieki i troskliwości.

W każdym razie sny są szkodliwe i świadczą o tem, że dana osoba nie jest zupełnie zdrowa

Dlaczego zając ma krotki ogon.

(Bajka murzyńska).

Owego dnia, kiedy się odbywało rozdawanie zwierzętom ogonów, niebo było pokryte chmurami i zanosiło się na deszcz. Zając, który od najdawniejszych czasów zawsze bardzo się deszczu obawiał, nie odważył się wyjść ze swej kryjówki, prosił więc inne zwierzęta, aby mu przyniosły ogon dla niego przeznaczony. Zwierzęta wprawdzie mu obiecały przynieść ogon, ale tyle miały tego dnia ciekawych spraw i wrażeń, że zapomniały zupełnie o biednym zajączku, który cały dzień tęsknie wyglądał swojego ogona. Wszystkie zwierzęta pięknie przystrojone w nowe ogony, przebiegały wesoło koło nory zająca, z radości machały tylko co otrzymanym darem i tylko niektóre z nich ledwie uważały za potrzebne usprawiedliwienie się z niedotrzymanego słowa.

I tak się stało, że biedny zając nigdy nie może machać ogonem, bo go nie ma! Tylko duma sobie smutnie, że cudze ręce lekkie, ale nie pożyteczne.

Wychodźtwo z Polski.

Centrala wychodźców w Mysłowicach oblicza, że w roku ub. wyemigrowało z Polski zagranicę około 200.000 osób. W liczbie tej około 40 tys. robotników rolnych, zatrudnionych w Niemczech w ciągu miesięcy letnich, a 11.500 robotników przemysłowych, którzy wyemigrowali do Francji. Z samego Górnego Śląska przeszło przez Centralę 6000 górników i 8000 rzemieślników. Przeciętnie Centrala załatwiała tygodniowo dwa transporty po 600—1000 osób każdy. Jest to może jedna z najsmutniejszych statystyk. Polska więc traci 200 tysięcy bardzo wartościowego elementu, który mógłby z takim pożytkiem pracować w własnej ojczyźnie.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Stanisław Zieliński:** Szarady zupełnie dobre, więc chętnie je zamieścimy. Wierszyk udatny, ale zbyt temat oklepany. — **Antoni Wrona** w K.: Obydwa logogryfy dobre, ale zbyt łatwe. O dalsze prosimy. — **Mikołaj Kowalik** w B. P.: P. Józef Kowalik mieszka w Krakowie, ulica Krasickiego 16. — **Ludwik St. Unsing** w B.: Za przesyłkę serdecznie dziękujemy. Jeszcze przeczytać nie zdołałem, gdyż półurlop właśnie dzisiaj skończyłem. — **Franciszek J. Tryszczała** w K.: Z nadesłanych utworów skorzystamy — dzięki. — **Stanisław Wojtasik** w T.: Artykulik zupełnie dobry i na czasie — prosimy o dalsze. — **Mila** w P.: W nadesłanych wierszykach znać talent, chociaż posiadają one jeszcze pewne usterki. — **Wł. Szwabowicz:** Dalsze zagadki czekają na swą kolej. — **Maryla „Widz“** w O.: Z powodu nawału materjału czekają na swą kolej. — **Wincenty Kuglin** w K.: Otrzymaliśmy — dobre. — **Marja Wawrzykówna:** Zamieścimy. — **Władysław Janczarek** w K.: Wiadomy opis do „Roli“ się nie nadaje, łamigłówki, o ile będą dobre, zamieścimy. — **Pisarczyk Władysław** w B.: Niech Pan nam napisze zażalenie, że nie otrzymuje numerów „Roli“, a my się dowiemy gdzie „Rola“ przepada, czy na poczcie w Pilznie czy w gminie Bielowej. Narazie doradzamy Panu energiczniej domagać się wydania „Roli“ w gminie.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 31 sierpnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·05 do 1·65 zł.	Jałownik	od 1·00 do 1·70 zł.
Woły	od 1·14 do 1·75 zł.	Cielęta	od 1·27 do 2·15 zł.
Krowy	od 0·83 do 1·70 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·15 do 2·50 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·50 do 3.25

Zagadki do nagrody.

1. Łamigłówka.

(Ułożył Herman Tadanier z L.).

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ Mitycz. bohater grecki.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Krótki wierszyk.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Utwór.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Tytuł wicekróla Egiptu.
■ ☆ ☆ ☆ Zjednoczenie.
■ ☆ ☆ Ruch handlowy.
■ ☆ Zaimek niemiecki.
■ Spółgłoska.

Litery czytane z góry na dół dadzą wyraz szukany.

2. Szarady.

(Ułożył Dominik Bielak z Ch.).

I.

Pierwsze trzecie
Za wsią macie.
Nieraz w drugiej trzeciej położone;
Całość, dla nas jest nieocenione,
Już je zdawna śpichrzem zwano,
Dziś dlań godne takie miano.

II.

Druga i pół trzeciej wzięta,
Niekiedy wieki pamięta
Swoim cieniem pierwsza druga,
Kiedy trzecia go wymaga.
Całość jest to kwiat pospolity,
Wysokością niesamowity.

3. Logogryf.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

☆ ☆ ■ ☆ ☆ Drzewo w Ameryce.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Wąż.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Układ.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Przyrząd do rzucania kam.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Narzędzie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Robota.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Wyższa ranga wojskowa.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Ogrody.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Produkt wapna.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Bajka.

Środkowe litery, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko ojca literatury polskiej.

4. Szarady.

(Ułożył Adolf Czader z S. W.).

I.

Na wschód od Egiptu w nadmorskiej [krainie,
Pierwsza, druga, czwarta, jako miasto [słynie.
Trzecie, czwarte, metal często używany.
Pierwsi, drudzy, trzeci są to wielkie pany,
Którzy z wykształcenia mają stanowisko.
Drugi i pół pierwszy jest gdzie palenisko.
Całość — dział nauki doniosły i wielki.
Chcesz nagrodę? — Zgaduj czytelniku [wszelki.

II.

Pierwsze, pierwsze, małe dziecię
często wypowiada,
Maciek Bzdura trzecie, trzecie
przy niedzieli zjada.
Drugi — koloru czarnego,
twardy w zimnym stanie.
Trzecia, pierwsza, dla różnego
zwierza jest mieszkanie.
Pierwsze, koniec drugiej, trzecie,
imię w żeńskich klasie.
Całość u krawca możecie,
widzieć w każdym czasie.
Trzecie daję tę poradę:
Kto zgadywać woli,
niech rozwiąże tę szaradę
i pośle do „Roli“.

5. Dostawianki.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Liczba + niedługa = kwiatek.
Liczba + ukłon = część nogi.
Zadowolony + przysłowie żydowskie = [urzędnik.
Niecała + litera = sprzęt domowy.
Zwierz domowy + papuga = zasłona.
Wykonawca kary + miara powierzchni = [choroba.
Zaimek osobisty + pieniądz = imię męsk.

5. Bilety wizytowe.

(Ułożył G. Wachtel z T.).

D. Retoryk

Z. Alarm

Adam E. Kaik

Ułożyć zawody powyższych osób.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 15 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 35 „Roli“: 1. Logogryf: Władysław Łokietek. 2. Szarady: I. Gramatyka. II. Metagram. III. Jaszczurki. IV. Łamigłówka. 3. Kwadraty magiczne: I. Rubin - uroda - Bolek - ideał - Nakło. II. Rabka - anons - Bohun - knuty - Asnyk. 4. Zagadka: tango.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Franciszek Sawa z K., Florjan Ciebiera z Rz., Tadeusz Kwerka z W., Aleksander Gwóźdź z L., Ignacy Jaśko z K., Ludwik Paliga z K., Gabrjel Wirstnik z Szcz., W. Ciepiela z B., J. Cichoń z P., Walusia Paduchówna z D., I. Zajączkowski z S.

Nagrody wylosowali pp.: Ignacy Jaśko z K. i Walusia Paduchówna z D.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Prawdziwy pech.

Müller z prowincji zaproszony został na wielkie przyjęcie. Przez dłuższy czas krąży z niewesołą miną, wreszcie zwraca się do jednej z dam:

— Mam dziś pecha. Powiadam jakiemuś panu, że ten gospodarz to jakiś nudny człowiek, okazuje się, że mówiłem z samym gospodarzem.

— Ach, pan ma na myśli mego męża?



Pierwszorzędny hotel.

— Oburzające! W łóżku mojem są pluskwy!

— Paniby chciała, żeby za te marne 5 złotych były jedwabniki w łóżku?

Westchnienie.

„Trudno dzisiaj żyć na świecie: człowiek uczciwy kończy w przytułku dla ubogich, człowiek nieuczciwy — w kryminale!“

Tytoń i pamięć.

— Powiadają, że tytoń osłabia pamięć człowieka.

— Nie wierz w takie bajki! Ja naprzykład dokładnie pamiętam to wstrętne cygaro, którem poczęstowałeś mnie przed dwoma laty...



— Czy dawałeś sobie kiedy, ojczulku, rwać zęby?

— O! Setkami, setkami, chłopcze!

Jednak się omylił.

Pryncypał: Panie Gryzipiórski jest pan wyśmienitym buchalterem. Księgi są prowadzone wzorowo, niema ani jednej pomyłki. Podwyższam od pierwszego pensję o 20 złotych.

Gryzipiórski: Raz jeden tylko omyliłem się panie dyrektorze.

— Kiedy?

— Liczyłem na 50 złotową podwyżkę.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 31 sierpnia b. r.

Pszenica	48·50—49·00	Słoma długa	12·00—13·00
Żyto	36·50—37·50	Ziemniaki stoł.	15·00—16·00
Owies	35·00—36·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień	35·00—36·00		
Fasola biała	00·00 00·00	Mąka żytnia	56·00—57·50
Groch zwyk.	00·00 00·00	Mąka pszen.	80·00—81·00
Siano słodk.	28·00 29·00	Otręby pszen.	29·00—29·50
Koniczpastew	35·00—37·00	Mąka czerw.	33·00—34·00



